

ROK II

P5096/2, 1925 dorocnik

OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁEM

Nr. 15 (24)

BIESIADA LITERACKA



WARSZAWA, 3 MAJA 1925 R.

CENA NUMERU 1 ZŁOTY



RZECZPOSPOLITA

DOSKONAŁE ŹRÓDŁO INFORMACYJ POLITYCZNYCH
WYJĄTKOWO OBSZERNY DZIAŁ GOSPODARCZY
CIEKAWY WIADOMOŚCI Z CAŁEGO ŚWIATA

WYCHODZI:

w WARSZAWIE, KRAKOWIE, LWOWIE, POZNANIU i WILNIE.

CZYTAJCIE I PRENUMERUJCIE

„ECHO WARSZAWSKIE”

NAJPOCZYTNIEJSZY ORGAN STOLICY

Adres Redakcji
ul. Hortensja 6.
Telefony: 111-70, 111-71

Adres Administracji:
ul. Boduena nr. 4.
Telefony: 228-46, 77-31.

BIESIADA LITERACKA

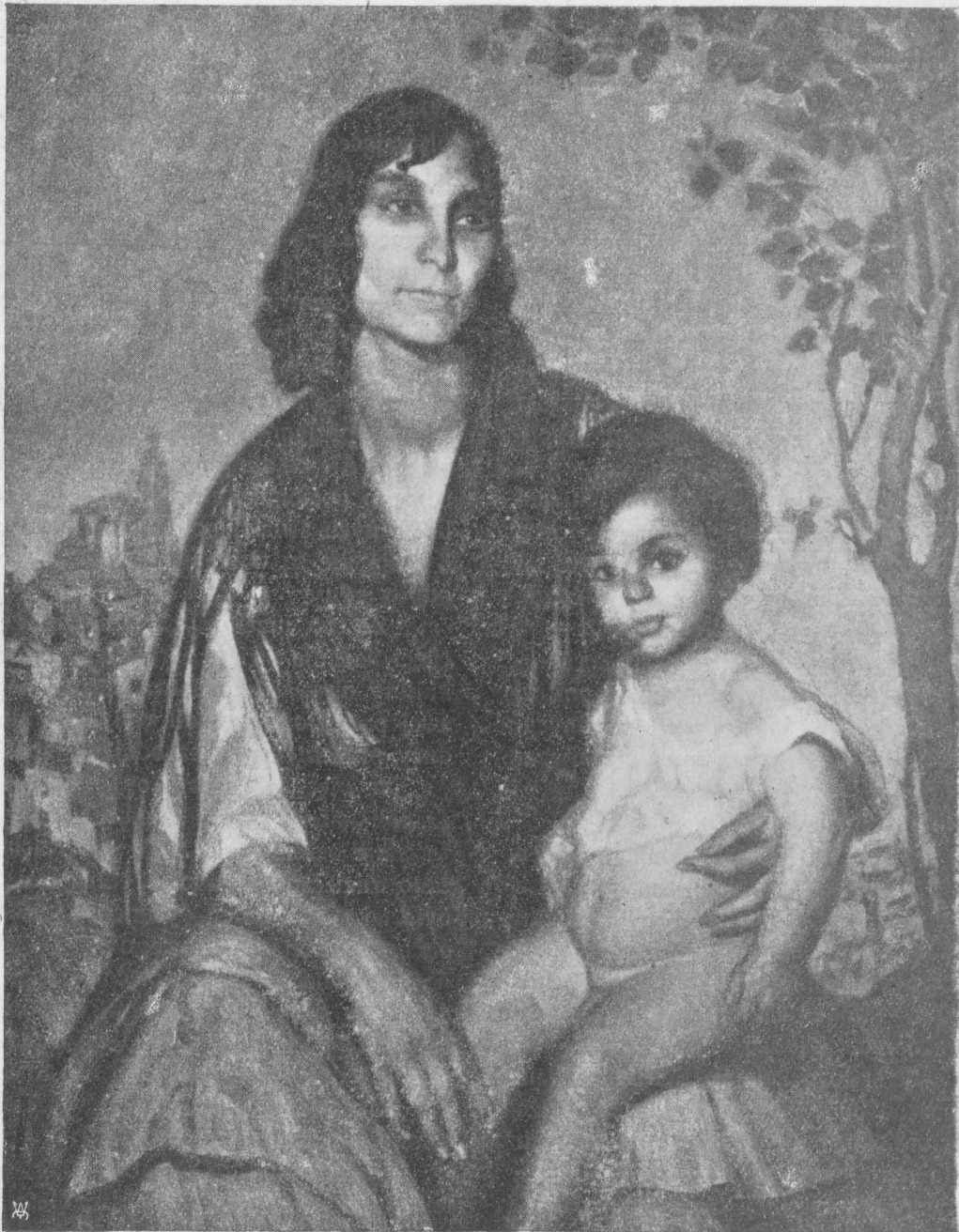
P I S M O T Y G O D N I O W E I L U S T R O W A N E

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 50. TEL. 291-60

Warszawa

3 maja 1925

Rok II № 15 (24)



„GITANA“

JULIO MOISES



D1179/59
11.5.

O D W Y D A W N I C T W A

Administracja „Biesiady Literackiej“ zwraca się do Sz. Prenumeratorów z prośbą o wpłacanie prenumeraty za II-gi kwartał r. b.

Należność prosimy przysyłać wprost do administracji, Nowy-Swiat 50 m. 4a, lub też wpłacać do P. K. O. na konto czekowe № 74-94.

DEKLARACJA POWINNOŚCI OBYWATELA

Dlatego rozum z łaski Bożej jest ludziom dan, aby był wodzem i mistrzem życia ludzkiego i wszystkich spraw, a którzy go na stronę zarzucają, ci nie są godni, aby je ludźmi zwano...

Andrzej Frycz Modrzewski

Dzień Trzeciego Maja jest drogi serca każdego Polaka. Przed wojną Polacy, zwłaszcza zaboru rosyjskiego, dzień ten mieli w szczególnej pamięci. Albowiem więzienia i represje dnia tego stosowane przez miejscowych kacyków satrapy carskiego głębokie ryły ślady w duszach naszych. Corocznie wtedy robiliśmy rachunek sumienia narodowego. Ileśmy przeszli i jaką jeszcze drogę przebyć nam sądono. Dzień ten był patriotycznym serc pokrzepieniem. Był bowiem protestem Postępu przeciw Reakcji. Gromkim głosem polskiej kultury przeciwko rosyjskiemu despotyzmowi.

Dnia tego praojcowie nasi zostawili upadającemu państwu Kartę Wolności Konstytucyjnych. My, dziedzice tego testamentu, protestowaliśmy w sto lat potem przeciwko tyranji obcego rządu najeźdniczego. Protestowaliśmy przeciwko gwałtowi społecznemu, przemocy politycznej i dzikim prześladowaniom narodowym, stosowanym przez rząd okupantów. A protest swój wyrażaliśmy właśnie w imię praw moralnych, jako dziedzice spuścizny przekazanej nam przez wyższą, pełniejszą kulturę.

Deus mirabilis, fortuna variabilis.

Zmieniły się czasy. W Polsce niepodległej dzień trzeciego maja stał się świętem oficjalnym. — Coraz więcej nabiera cech sztywnego, chłodnego obrządku pamiątki historycznej. Niedobitki ostatnich Mohikanów pokolenia przedwojennego grają w tym obchodzie rolę weteranów. Młode pokolenie wychowało się w zgoła innej atmosferze. Zatraca się tradycja dnia trzeciego maja, Zwykłą losu kolejną dzień ten będzie się wyróżniał z pośród 365 dni całego roku tym, że tego właśnie dnia orkiestry na placach publicznych grywać będą hymn narodowy.

A przecież twórcy konstytucji trzeciego maja pozostawili nam wielki wzór do naśladowania. Czynem swoim wskazali na ogromną siłę moralną i organizacyjną, płynącą z poczucia ducha obywatelskiego.

Właśnie to obudzanie ducha obywatelskiego, wpływającego ze zrozumienia i odczucia więzi społecznej, łączącej wszystkie warstwy narodu w spoiwą całość, odegrało w konstytucji 3 maja największe znaczenie praktyczne. Dzięki temu właśnie była Konstytucja 3 maja ideą—siłą, sprawiającą owo podniecenie uczuć patriotycznych, skoro zbliżała się pamiętna dla każdego Polaka rocznica.

Przodkowie nasi, uchwalając konstytucję 3 maja, zdobyli się na czyn wyprzedzający epokę, wykazali siłę myśli i poziom wyrobienia państwowego i obywatelskiego. Ale po stu pięćdziesięciu latach, w czasach wysokiego poziomu kultury społecznej w krajach cywilizowanych świata, potomkowie twórców Konstytucji 3 Maja nie są w stanie święcić tej rocznicy w sposób odpowiedni.

Ze sfer urzędowych donoszą, że „szczerze były chęci nadania świętu dorocznemu rozmiarów, godnych kultury obywateli państwa odrodzonego, słynnego ze swej przeszłości... atoli wpłynęły skrupuły... bo za duży procent mamy szkodników społecznych“.

A więc, gdy uchwalono konstytucję 3 maja — „zapał narodu — jak pisze historyk — przeszedł wszelkie oczekiwania“. W odezwach i listach wyrażano wdzięczność, panował entuzjazm. Postawa ogółu była taka, że „żaden dysonans nie zamącił doniosłości obchodu święta narodowego“.

Po latach zaś stu pięćdziesięciu sfery rządowe nie są w stanie nadać świętu dorocznemu rozmiarów godnych kultury obywateli państwa odrodzonego...

Za duży mamy procent szkodników społecznych. Gorzkie słowa. Bolesne. Zarazem tragiczne w swej nagiej rzeczywistości.

Poziom kultury i wychowania społeczno-obywatelskiego w Polsce jest bardzo niski. Oświaty, oświaty i jeszcze raz oświaty. Zbrodnią narodową są oszczędności na oświacie. Państwo może mieć złą walutę, może nawet stracić byt niepodległy, jeżeli

jednak poziom moralny i kulturalny narodu jest wysoki, naród taki nie zginie. Natomiast najzdrowsza waluta i najliczniejsza armja nie wyratują ze zgnilizny moralnej narodu stojącego na poziomie kultury dzikusów.

W Anglii istnieje duża kultura polityczna. Szerokie masy są wyrobione. Poziom oświaty jest wyższy niż w Polsce. A jednak po wojnie rząd angielski stanął na stanowisku, że każdy obywatel angielski powinien być wychowywany od kolebki do śmierci. Pomimo olbrzymich trudności gospodarczych, w jakich Anglja znalazła się po wojnie, rządy, nawet konserwatywne, uważają, że niezbędna jest oświata pozaszkolna, aby wychowywać obywatela. Lord Eustachy Percy powiada, że „jeżeli wogóle oświata pozaszkolna ma jakikolwiek sens, to tylko ten, że wskrzesi ów prawie nieuchwytny czynnik w cywilizacji, który w braku lepszego rozumienia nazywamy kulturą, — i ruch taki musi mieć bardzo istotny wpływ na stan polityki, w którym kultury na ogół rażąco brak!”.

O ileż bardziej nam potrzeba tej rzetelnej, szeroko pojętej oświaty pozaszkolnej, popartej przez rozwój szkolnictwa powszechnego.

Demokracja bez oświaty jest rzeczą niebezpieczną.

Może doprowadzić do dzikich wprost objawów. Obywatel stanie się nie organizatorem, lecz burzycielem kultury państwowej, a nawet dobra społecznego.

Po świętach Wielkiej nocy wybuchł pożar w miasteczku Ryki. „Wielu mieszkańców miasteczka nie było w owym czasie w domach, ponieważ pospieżyli na ratunek do wsi sąsiedniej Okrzeje, gdzie poprzedniego dnia wybuchł pożar... Pomoc ze strony ludności i gmin sąsiednich, pomoc dla płonącego miasteczka napotykała jednak na trudności. Gmina w Żelechowie nie chciała użyć samochodów do pożaru... Samochody były gminie potrzebne, albowiem w Żelechowie odbywał się mecz futbolowy... Spłonęło 257 domów“.

Potworne! Przerażające!

Obok w sąsiedztwie płonie miasteczko, — „a polska wieś spokojna“. Spłonęło kilkaset domów, a nikt nie spieszył na pomoc. Gore dobytek ludzki, a gmina sąsiednia nie chce użyć samochodów... Jakaż to ważna sprawa nie pozwoliła na tę pomoc? — Mecz futbolowy. Parę tysięcy osób zostało bez dachu nad głową. Żywiół straszny nawiedził nieszczęśliwe miasteczko. Obok zaś, w miejscowości sąsiedniej, grali spokojnie w piłkę nożną. A nawet nie użyli samochodów, bo były im potrzebne do zabawy!

Wstrząsające swą grozą zjawisko zdziwienia! Wstyd pali twarz, że coś podobnego zdarzyło się wśród społeczeństwa, którego jestem członkiem. Są jeszcze

w Polsce tak zdumiewające objawy barbarzyństwa, że pyta się człowiek oniemiały: żali to w kraju cywilizowanym się dzieje, czy też wśród afrykańskich buszmenów?

Niebezpieczeństwo, w jakim się Polska znajduje, jest wielkie. Ale tkwi nie w złej walucie czy też kryzysie gospodarczym. Lecz w tem, że człowiek jest człowiekowi wilkiem.

Potrzeba jak najwięcej szkół powszechnych, oświaty dorosłych, wychowania obywatelskiego, kształcenia kultury społecznej i osobistej.

To jest fundament zdrowia narodu. Opiera się ono bowiem nietylko na prawach, lecz i na powinnościach obywatela kraju.

Władysław Wolert.



DURA LEX — SED LEX

P. GERVAIS

PODATEK OD PSÓW

(Feljeton psi)

Mówią niektórzy złośliwcy, iż posiadamy w Warszawie magistrat pod psem. Że twierdzenie to nie jest całkowicie słuszne dowodzi w dostatecznej mierze fakt, iż magistrat pobiera podatki od psów i jest zatem nad psem, nie zaś pod psem. W przeciwnym bowiem razie psy pobierałyby podatek od magistratu.

Pies płaci podatek majątkowy od ruchomości (pcheł), podatek dochodowy i odchodowy, podatek obrotowy (od obrotów na skwerku podczas zalotów). Każdy pies powinien być opatrzony w medal i posiadać miano.

Psy należą do najinteligentniejszych stworzeń świata zwierzęcego. Dopiero po nich — zdaniem przyrodników idą słonie, ludzie, konie, kawalerzyści. Osłów i posłów zoologowie uważają za istoty obdarzone mniejszą inteligencją.

Jeżeli człowiek płacić musi nieskończoną ilość podatków, to pies, jako zwierzę inteligentniejsze, nie może być oczywiście od podatku zwolnionym: co najwyżej będzie się do niego odnosił krytycznie.

Ludzie przy płaceniu podatków godzinami muszą wystawać „w ogonku“. Stanie „w ogonku“ należy do najmielszych zabaw psich. Psom zatem płacenie podatku powinno przychodzić łatwiej, niż ludziom.

Może dlatego w niektórych „kawałkach“ magistrackich rozesłanych do mieszkańców Warszawy „w przedmiocie“ podatku od „odnośnych“ psów — zaszedł szereg pomyłek dość zabawnych, ale tylko na pierwszy rzut oka.

Podobno wzywano WPana Asa, ażeby zapłacił podatek od swego psa, który się wabi Jan Łada. Wzywano WPana Lorda (anglik zapewne?), by opłacił podatek za suczkę wabiącą się Honorata Kruczek (dziwni ci Anglicy, że dają suczkom ludzkie imiona!). Wzywano WPana Burka (co za nazwisko! napewno poseł), ażeby uregulował podatek za psa wabiącego się Brylek. Wzywano WPanią Figę, ażeby uregulowała podatek za suczkę Bronisławę Suczkowską.

WPan Nowy Świat zamieszkały przy ulicy Rex otrzymał wezwanie wpłacenia niezwłocznie należności za psa, który się wabi Profesor Doktor Wałaszek.

Sejmowi przesłano wykaz kilkunastu posłów o dwuznacznie brzmiących nazwiskach, sądząc że to są imiona jakowychś kundli lub pokurczów.

Mylono się przytem skandalicznie w adresach. Poseł Szyja Baumgrain, otrzymawszy wezwanie do opłacenia podatku za psa, dostał manji wielkości, (manja heroica). Kupił sobie prawdziwą smyczę, szpicrutę, trzy kagańce. Mówił o „swoim“ psie do bliższych i dalszych znajomych. Nosił się z zamiarem nie bania się w przyszłości psów, a nawet kupienia sobie jakiegoś „brytana“ — lecz potem wrodzona ostrożność wzięła górę: smyczę, szpicrutę i trzy kagańce przesłał jako dar wszechnicy w Jerozolimie.

Podatek od psów jest rzeczą niewątpliwie słuszną. Tylko — zważywszy inteligencję psią — czy nie praktyczniej byłoby, ażeby ściąganiem podatku od psów zajęły się psy? Czy by tego nie robiły inteligentniej?

Juljan Ejsmond

TRZECIEGO MAJA

*Od bursztynowych ławic Bałtyku
i po Karpackie zielone szczyty
staniemy dzisiaj w ładzie i szyku,
zcisząc swarów zawistne zgrzyty.
Dziś niech się serca wszystkie zespolą
w jedno uczucie święte — miłości —
I połączeni jedyną wolą
pójdźmy ku mocnej jasnej przyszłości.
O tem śpiewają na wieżach dzwony
w ten dzień wiosenny, w dzień myśli świętej —
że zapal pracy — niezwytyczony,
myśl twórcza wszelkie rozerwie pęta.
I, jak mąż jeden, tak Polska cała
stanie tą wiarą, tą wiedzą zbrojna:
wielkiej przeszłości — promienna chwała,
wielkiej przyszłości — trud, praca znojna.*

T. Z.



OGIEŃ

RIXEUS

STEFAN BARSZCZEWSKI

11)

J A K B Y Ć M O G Ł O

NIEURZECZYWISTNIONA OPOWIEŚĆ LOTNICZA

— Już sobie poszli — mówił ktoś w tłumie — ani śladu po nich.

— Ależ zmachali się biedaczyska — ubolewała jakaś kumoszka — ciągiem nosiłam wodę kubłami, a to piło i piło...

— Podobno prusacy już w mieście — odezwał się jakiś wyrostek.

Natychmiast otoczono go kołem, rozpytując skąd pogłoska pochodzi.

Żarski drgnął, usłyszawszy te słowa, ale nie zatrzymał się i przyspieszając kroku, szukał oczyma dorożki.

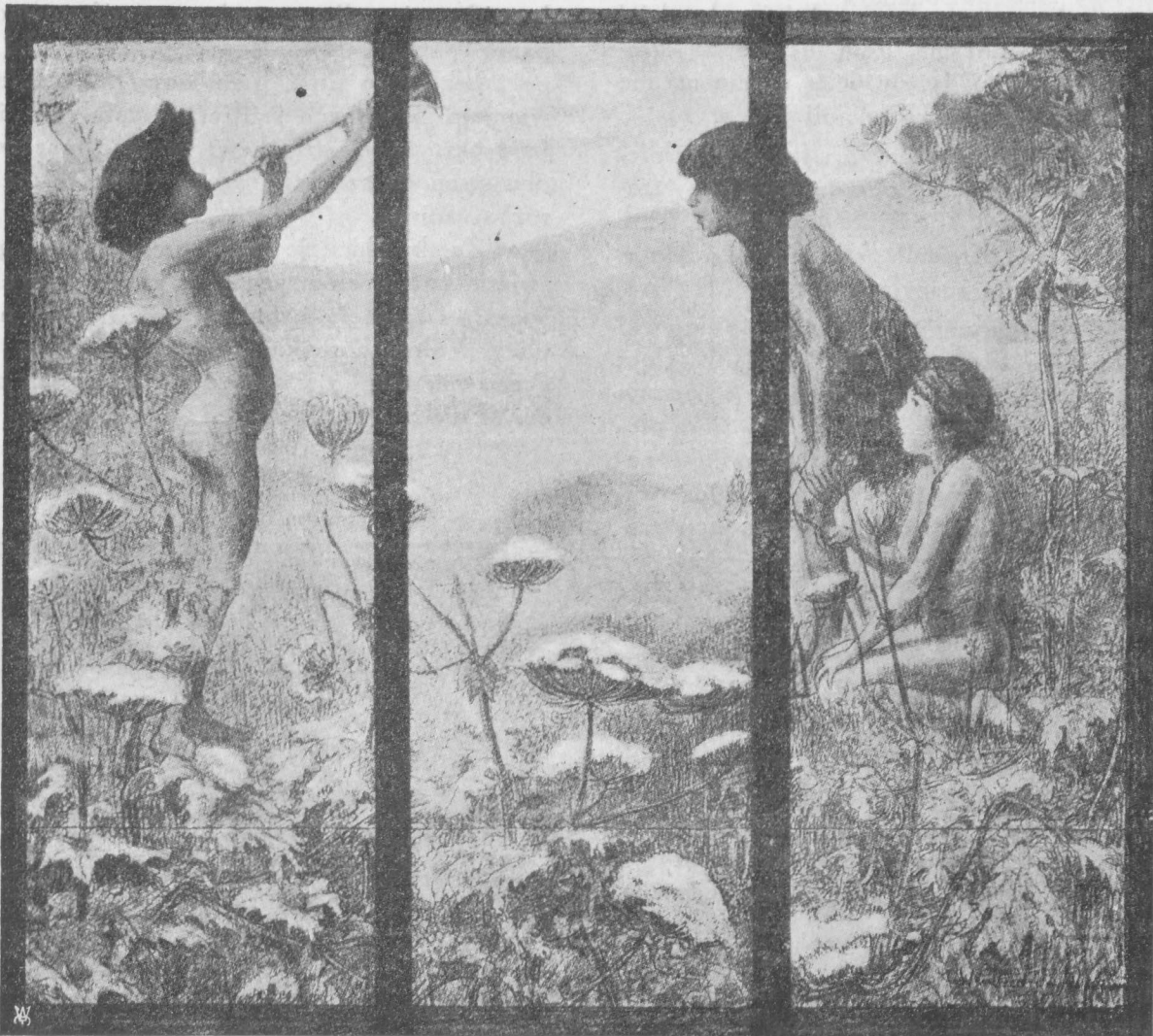
Nagle rozległ się zdaleka głuchy tętent i rósł,

i potężniał z chwilą każdą. Wreszcie pokazała się w głębi ulicy pędząca gromadka jeźdźców.

— Kozunie — krząknął wyrostek który przed chwilą mówił o pojawieniu się Prukaków w mieście.

Istotnie, kilkunastu kozaków — widocznie ostatnia placówka odwrotowa — pędziło co koń wyskoczy. Czapki baranie na bakier, dzidy pętlcami u łokcia wiszące, w tył przechylone, jeźdźcy stojący prawie w strzemionach i naprzód zgięci, konie przysadkowate, krótkie, grzywiaste, dyszące ciężko — wszystko to przeleciało, jak wicher, przed oczyma Żarskiego.

Na widok ten tłum uliczny w pierwszej chwili



TRYPTYK: WIOSNA.

WINIFRED COOPER

zakołysał się i cofnął, ale ciekawość i zastanowienie przemogły. Wszak to nie ci już kozacy, którymi dzieci straszono, nie ci, których ukazanie się na ulicy było zwiastunem świstu nahajek i przekleństw. Nie, to żołnierz pobity, uciekający...

Patrzano więc na nich bez złorzeczeń, stano bez ruchu, bo się już ich nie obawiano, patrzano wzrokiem raczej współczującym niż drwiącym.

Żarski dopadł nareszcie dorożki.

Dorożkarz, stojąc na koźle, patrzył za uciekającymi, rozwarłszy szeroko usta.

— A to zmykali! — zawołał, poczem usiadł szybko na koźle i ujął lejce.

— Do ratusza, a szybko — zawołał Żarski.

Dorożkarz zaciął batem biedną, wychudzoną szkapę,

Zapadł wieczór. Mrok zwiększały chmury, zasnuwające już cały widnokrąg. Zaczął padać deszcz drobny i gęsty. Dorożka, pomimo nakazu Żarskiego, jechała coraz wolniej, gdyż im bardziej zbliżano się do śródmieścia, tem liczniejsze gromadki ciekawego ludku dążyły w tą stronę już nie tylko chodnikami, ale i środkiem ulicy.

Zewsząd dolatywały głosy: — Już są w mieście. Już przeszli rogatki. Podobno całe stosy trupów tam leżą. Domy podziurawiono, jak sito. U Dominikanów cały Kościół postrzelany, a Matki Boskiej żadna kula nie ruszyła.

Żarskiego drażniły niewymownie te urywki rozmów. Jeszcze bowiem nie dowierzał w głębi duszy. Jeszcze nie chciał pogodzić się z rzeczywistością. Tyle już nasłuchiwał się w tej wojnie plotek najpotworniejszych, tyle zeznań „świadków nocznych“ okazało się już kłamstwami z palca wyssanymi, że musiał stwierdzić namacalnie stan rzeczy. Nareszcie dorożka dobrnęła do rynku. Tu stały już tłumy zwarte. Dorożka przystanąła. Żarski, powstawszy w niej, ujrzał odcinającą się jaskrawo na mrocznych już murach ratusza białą płachtę nad głowami tłumu. Dokoła niej, wśród wolnej przestrzeni, odgradzonej przez straż obywatelską, zebrała się gromadka mężczyzn. W tej chwili właśnie, na znak dany przez jednego z mężczyzn, biała płachta wysunęła się naprzód i pochód ruszył ku zachodniej stronie miasta. Żarski domyślał się już znaczenia tego pochodu, ale korciło go pragnienie zajrzenia prawdzie w oczy. Obejrzał się dokoła i spostrzegł zbliżającego się do dorożki członka straży obywatelskiej z białą-amarantową przepaską na ramieniu. Nadchodzący dawał znaki dorożkarzowi i wołał:

— Proszę zawrócić, przejazd wzbroniony!

Żarski wychylił się z dorożki.

— Przepraszam — spytał — co to za pochód wyruszył z ratusza?

— Delegacja magistratu — odparł krótko milicjant — prusacy wchodzą do miasta.

Teraz dopiero wszelkie wątpliwości pierzchły. Żarskiemu serce zabiło mocno. Nie było czasu do stracenia.

— Na ulicę Wolną! — zawołał.

Dorożkarz zaciął konia i potoczyła się rozklekotana dorożka w drogę powrotną.

Gdyby Żarski zatrzymał się był jeszcze kilka minut na rynku, to może dojrzałby zbliżającą się od strony zachodniej miasta ku rynkowi taką samą odrapaną dorożkę, a za nią kłusujący patrol szaro ubranych ułanów z czarno-białymi chorągiewkami.

W dorożce stał pełen pewności siebie i znaczenia Mojżesz Tannenbaum i wymachując długą, kościstą ręką, wołał ochryłym głosem:

— *Zurück, zurück!*

Wołanie to jednak było zgoła zbyt ciche i miało widocznie tylko na celu zmanifestowanie przez pana Tannenbauma, władzy, jaką posiadał obecnie, bo i bez niego tłum, przerażony tak nagłym pojawieniem się obcych jeźdźców, cofał się i ścisnął wśród okrzyków i szlochów, tworząc mur zwarty po obu stronach szerokiej drogi, po której pędziła dorożka szpiega.

Żarski płacił jeszcze dorożkarzowi, gdy przy świetle latarni elektrycznych, które w tej chwili zasyczały i trysnęły światłem, pojawiła się na końcu ulicy Wolnej dorożka z otaczającymi ją ułanami. Przed nią biegł z ust do ust, szybko jak błyskawica, okrzyk:

— Prusacy, prusacy!

(D. c. n.)



OPUSZCZONY VLASTIMIL HOFFMAN

KRZYSZTOF ARCISZEWSKI

zdobywca Brazylii, admirał holenderski, starszy nad armatą Koronną

Domagania się jego audjencji u Stadthoudera Fryderyka Henryka i u innych Izb kompanji, uwzględnione nie zostały, a po długich naleganiach i przerwie doręczono mu w końcu odpowiedź hrabiego.

Widząc, że zabiegi jego celem osobistego przedstawienia sprawy i obrony, nie odnoszą skutku, postanowił odwołać się do opinji publicznej i w tym celu w sierpniu 1639 r. zredagował obszerny akt, nazwany przezeń *Apologją*, stanowiący obronę przeciw zarzutom, podniesionym przeciw niemu, a zarazem dającą dokładny obraz jego działalności i odwołanie się uroczyste do sumienia ogółu, by należytego o doznanej przezeń krzywdzie nabrać mógł przeświadczenia.

Po długim a dokładnem wyłożeniu wszystkich krzywd doznanych, oraz wyjaśnieniu zarzutów, pisał na zakończenie:

„Niechaj Wysokie Władze rozważą, że ci ludzie, którzy za drugim moim powrotem do Brazylii, siedzieli zamknięci w fortach, nie śmiejąc wyrzucić głowy ze strachu, pozyskali przezemnie 130 tysięcy mil wybrzeża, z gruntem tak szerokim, jak tylko chcieli sięgnąć w kierunku ku lasom, a wroga ani śladu! Jeśliby kompanja przesłała Wysokim Władzom wykazy porównawcze tego, co było przedtem, z tem, co jest obecnie, różnica byłaby taka, jak dzień do nocy!

Opuściłem służbę biednym, podczas gdy oni, wzbogacając się moim kosztem, bez pieniędzy dobili się mienia, wysyłanego do domu i w nagrodę za to—postąpiłi ze mną tak niegodnie, jak nikt jeszcze względem nikogo nie postąpił.

Aby zreasumować wszystko, zjawiam się przed Wami, Wysokie Władze, znędzniały, żaląc się na gwałt na osobie mojej przez brazylijskich Rządców spełniony przez ich podwładnych.

Domagam się zadośćuczynienia honorowi i wynagrodzenia szkód, domagam się aktu sprawiedliwości, w imię zasady, że kto polegając na waszych umowach i podpisach, krew swoją poświęcił usługom kraju, nie powinien być krzywdzonym przez kompanję i jej podwładnych; domagam się w imię sprawiedliwości wykreślenia z akt brazylijskich hańbiącego mnie wyroku; domagam się świadectwa nieskazitelnej mej służby.

Domagam się z pokorą od Wysokich Władz odpowiedzi spiesznej i stanowczej.

Jeśli Wysokie Władze raczą przyjąć mi z pomocą, znajdziecie we mnie wdzięcznego i powolnego sługę i ogólne uznanie ze strony tych, co się moją zajmują sprawą.

Jeśli zaś nie, proszę Wysokie Władze o zaszczytne rozstanie się ze mną, bym mógł z pomocą Bożą, jaknajprędzej zwrócić się tam, gdzie mnie oczy poniosą. Błagać będę Wszechmocnego, by miał na względzie nieszczęsną podróż moją, przedsięwziętą z rozkazu Waszego, ową podróż, z powodu której utraciłem brata, zmarłego skutkiem otrucia czy zarazy, utraciłem mienie, zdrowie, nadwyręży-

łem honor, utraciłem sposobność do innych usług, wezwany do mej ojczyzny, dokąd nie podążyłem, a naraziłem się na tysiączne niebezpieczeństwa w usługach kompanji“...

Miotał się w sieci intryg podstępnych lew polski, napróżno ze wszystkich stron wyglądając ratunku.

Pisał nawet do swego opiekuna, ks. Radziwiłła, prosząc go o przyczynne listy do Stadthoudera, głównie zaś, aby honorowi jego należne dać zadośćuczynienie i polecono wykreślić z akt brazylijskiego rządu hańbiący go wyrok.

W miarę, jak nadzieja polubownego załatwienia sporu oddalała się, ogarniała go niepohamowana już żądzą wściekłość i żądza pomśzczenia się za doznaną krzywdę.

Snuł więc projekty odwołania się do szpady, w przeciwnym razie grożąc przy pierwszym spotkaniu strzeleniem Nassauczykowi w łeb. Lecz zamiary te nie wpływały zupełnie na flegmatyczne traktowanie przez władze holenderskie tych szamań bezbronnego cudzoziemca, chociaż przemawiały za nim listy do Stadthoudera tak potężnych dygnitarzy, jak ks. Krzysztofa Radziwiłła i hetmana w. koronnego, Stanisława Koniecpolskiego, ba, nawet samego króla Władysława IV.

Zbyt silne jednak za utrzymaniem powagi jednego z członków domu Nassauskiego przemawiały względy, by zwracanie się dostojników obce-



AUTOPIKRET WILLIAM ORPEN

go państwa, a nawet korzystnie usposobiona dla Arciszewskiego opinja ogółu, mogły rychło oddziaływać na cofnięcie wyroku, raz już postanowionego.

Po raz ostatni odwołał się Arciszewski do Stanów generalnych, by pozyskać honorowe zadośćuczynienie. W długim piśmie prosił już tylko o udzielenie mu dymisji i wydanie paszportu holenderskiego.

Tym razem Rada XIX uchwaliła udzielić mu zwolnienie od służby i paszport, co stanowiło niejako milczące uchYLENIE sentencji Rady Brazylijskiej, unieważnienie, niewłaściwie, przez niekompetentną władzę, danej Arciszewskiemu dymisji.

Nie odpędzono zatem Arciszewskiego, jak tego pragnął hr. de Nassau, jako przybłędę, lecz dano mu, jako żołnierzowi, na własne jego żądanie, dymisję i opatrzone paszportem, jako wolnego Stanów Zjednoczonych Holenderskich obywatela.

Sprawdziły się wkrótce przestrogi Arciszewskiego, zawarte w memorjale, gdyż holendrzy, niebawem po wyjeździe Arciszewskiego z Brazylii, zaczęli tracić zdobyte przezzeń terytorja, a niezadługo i całą utracili kolonję...

XI

Otrzymałszy choć częściowe zadośćuczynienie, osiadł Arciszewski w Asterdamie i zanim zdecydował się, co dalej z sobą pocznie, zajął się przedewszystkiem poprawą bardzo nadwyrężonego tyłu przejściami zdrowia. Oddawna już cierpiał na przypadłości newralgiczne i podagrę, które przy wieku jego, sięgającym już pięćdziesiątki, odejmowały, mu możność rzucenia się na nowo w wir bojowego życia.

Sześć lat tak spędził beczynnie, zabawiając się pisaniem rozpraw naukowych, wśród których miejsce znalazło się i dla medycyny, gdy naraz przysłała z Polski wieść od króla Władysława IV, marzącego, mimo ustawicznych przeszkód ze strony szlachty, o wyprawie tureckiej. Zanim do wypełnienia tych planów przystąpił, gromadził król przy sobie zewsząd ludzi dzielnych, ze sztuką artyleryjską obznajmionych i raz jeszcze postanowił odwołać się do dzielności oręża Krzysztofa Arciszewskiego, proponując mu objęcie, po zmarłym w tymże czasie Pawle Grodzickim, godności starszego nad armatą koronną, czyli generała artylerji, na warunkach wyjątkowo korzystnych.

Arciszewski, od lat sześciu wiodąc życie beczynne, z upragnieniem tym razem chwycił się zdarzonej sposobności powrotu do kraju i poświęcenia się jego usługom.

Obok względów patriotyzmu i ambicji rycerskiej, kierowała nim chęć okazania krajowi wdzięczności za kierunek tolerancyjny, jaki w sferze religji panować wtedy począł.

W dniu 28 kwietnia 1646 r. wydanym został Krzysztofowi Arciszewskiemu dyplom na urząd starszego nad armatą koronną, z pensją roczną dwóch tysięcy talarów cesarskich, czyli 6000 złotych polskich ówczesnych, którą z nowej kwarty na użytek artylerji przeznaczonej, miał pobierać.

Powierzono jego opiece wszelkie cekhaury,

zapasy i amunicje wojenne, z obowiązkiem zwiedzania ich po całym kraju, przyjmowania inwentarza, urządzania ich i kierowania całą artylerją koronną.

Wspomniałszy w dyplomie przebieg kariery rycerskiej Arciszewskiego i wypraw jego za Zygmunta III, pod wodzą hetmana Radziwiłła, w wojnie Inflanckiej spełnionych, tudzież głośne jego czyny w krajach zamorskich, usprawiedliwia król swój wybór powodami, by Arciszewski, wstawiony i uzaniony pochwałami obcych ludzi, nie sądził, że sława jego została we własnym kraju poniżona, i aby jego dla ojczyzny i potomności chlubne chęci, ciągle rycerskim ożywione duchem, nie zwróciły się ku gnuśnej beczynności, a natomiast, by z dojrzałymi i pomnażającymi się w wojenny talent latami, mógł dosługiwać się nadal dla dobra króla i Rzplitej.

Tegoż samego dnia 28 kwietnia 1646 r. złożył Arciszewski, przed kanclerzem Ossolińskim, przysięgę w słowach:

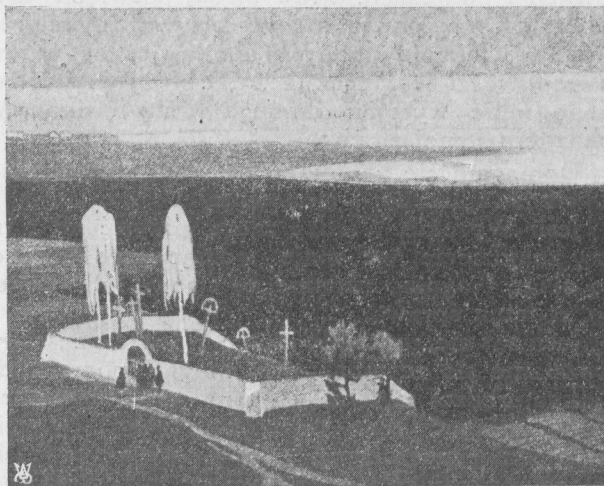
„Ja, Krzysztof Arciszewski, przysięgam Najjaśniejszemu Panu, Panu memu miłościwemu, Władysławowi IV, królowi polskiemu i potomnym następującym królom polskim, Koronie polskiej, iż na tym urzędzie przełożenia nad armatą, wiernym będę i pieniędzmi publicznymi, sobie powierzonymi, wiernie, według woli Jego Królewskiej Mości i Korony Polskiej, szafować będę, i wszystkie pożytki publiczne, urzędowi memu należące, według możności mojej będę upatrywał, szkód przestrzegam i one oddałam. Tak mi Panie Boże do pomocy i Jego święty Krzyż“.

Energicznie zabrał się Arciszewski do swoich czynności, lecz i tu napotkał na niezliczone trudności, zwłaszcza w sprawach pieniężnych.

Gospodarka przy odbieraniu pieniędzy, przy ich liczeniu i weryfikacji istotnych należności, wiele przy istniejącym systemie pozostawiała do życia.

Gdy Arciszewski zażądał od panów skarbników oryginalnej księgi percepty, t. j. księgi dochodowej, odmówiono mu jej.

(D. c. n.)



WIECZNY SPOCZYNEK

JAN SKOTNICKI

DRAPACZE CHMUR W AMERYCE 2)

Ciekawą, z punktu widzenia technicznego, była próba dokonana w Woolworth'cie nad skutecznością urządzenia, za pomocą sprężonego powietrza, mającego na celu stłumienie wstrząsu, w razie zarwania się kabiny dźwigu. W tym celu ostatnia została naładowana ciężkimi przedmiotami, wagi 3250 kilogramów i, po usunięciu lin i innych więzów, zrzuconą z wysokości 45 pięter. Po sprawdzeniu stanu zawartości kabiny okazało się, że nie tylko znajdujące się wewnątrz przedmioty nie uległy uszkodzeniu, ale nawet nie rozlała się woda, nalana do szklanki, którą również tam umieszczono przed próbą.

Z powyższych cyfr widać już, jakimi kolosami są drapacze amerykańskie i do jakich rozmiarów dochodzą liczby, związane z ich budową i urządzeniem.

Jak wspomnieliśmy na początku, budownictwo amerykańskie dąży wciąż w kierunku powiększenia tych liczb. Teoretycznie zatem trudno przewidzieć, gdzie i kiedy nastąpi kres niebotycznych dążeń. Inaczej nieco przedstawia się sprawa z punktu widzenia praktycznego.

Okazuje się mianowicie, iż rentowność drapaczy, po przekroczeniu pewnej wysokości, zmniejsza się szybko w miarę wzrastania liczby pięter. Wsku-

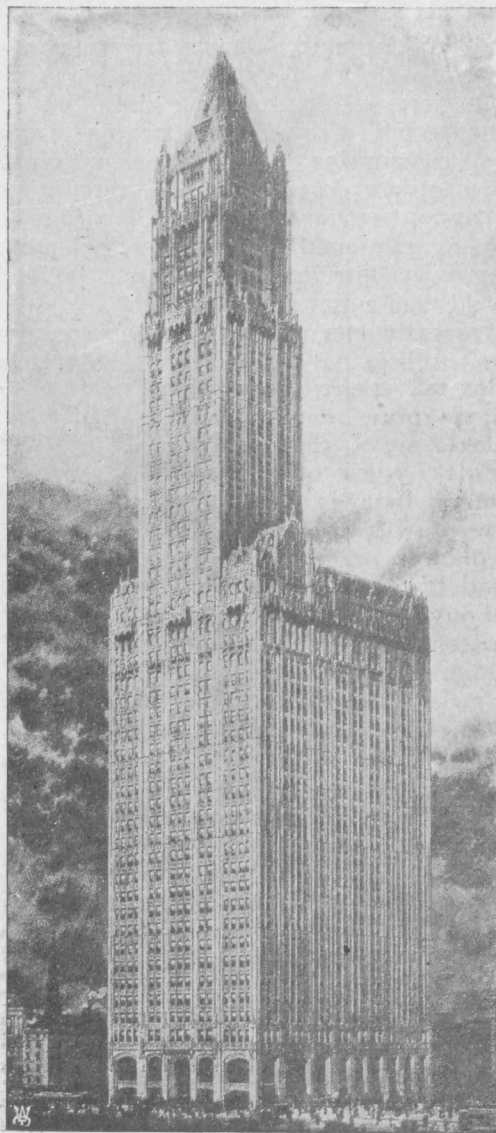
tek tego piętro np. trzydzieste rentuje znacznie gorzej, niż, dajmy na to, dwunaste.

Przyczyny należy tu szukać w kosztowności rusztowań i urządzeń, związanych z budową, prowadzoną na zawrotnych wysokościach, w trudnościach dostawy materiałów budowlanych na miejsce i, wreszcie w dużych kosztach eksploatacji wysokich pięter.

Ważny ten wzgląd, poza niektórymi innymi, przemawiałby raczej za ograniczeniem nadmiernej wysokości drapaczy, a za powiększeniem natomiast ich wymiarów. Tutaj jednak nader często natrafia się na trudność naturalną: brak miejsca do budowy w dzielnicach handlowych wielkich miast amerykańskich, a szczególnie Nowego Jorku. Nie mówiąc już o bieżących wprost sumach, do jakich dochodzi tam cena za stopę kwadratową ziemi, odczuwać się daje jej brak dosłowny. Ta zresztą okoliczność wytwor-



Drapacz Tow. Ubezpieczeń „Equitable” w New-Yorku



Drapacz nieba w Nowym Yorku

rzyła w Ameryce drapacz — jako typ budynku o najmniejszym obwodzie, a o największej rentowności. Ta okoliczność i nadal będzie niezawodnie czynnikiem rozstrzygającym w wielu wypadkach, które doprowadzą do wzniesienia nowych drapaczy o imponującej liczbie pięt.

Widzimy więc, że, jakkolwiek inicjatywa amerykańców musi tu lawirować między Scyllą a Charybdą, wymogi życiowe i niepowstrzymany wzrost handlu i przemysłu po drugiej stronie oceanu zmuszą śmiałych yankesów do budowania i nadal scy scrapar'ów, przewyższających rozmiarami istniejące już olbrzymy.

Inż. Z. Kacprowski.

„MACIERZ“

Pamiętam z przed lat blisko ośmnastu scenę, która utkwiała mi, jak żelazny, wbity w głowę ćwiek. Siedzieliśmy późną nocą w redakcji, oczekując na ostatnie depesze. Wreszcie przyszły, ktoś zaczął je przeglądać i naraz jakimś obcym drewnianym głosem krzyknął:

— Macierz Szkolna zamknięta!

Stało się tak, jakby ściany pokoju zwały się nam całym ciężarem na głowy. Zapanowała cisza, potem krew uderzyła gorącą falą do serc i mózgów, i gorycz, pasja, bezsilność poczęły dławić za gardło. Rozumieliśmy całą perfidję żelaznej petersburgskiej łapy, która gasiła w zarodku światło, jakie ledwie rozpałało się nad udrczoną Polską.

Ale przeszły lata, przewaliły się burze, popękały wielkie konstrukcje polityczne i z wysokości żelaznych

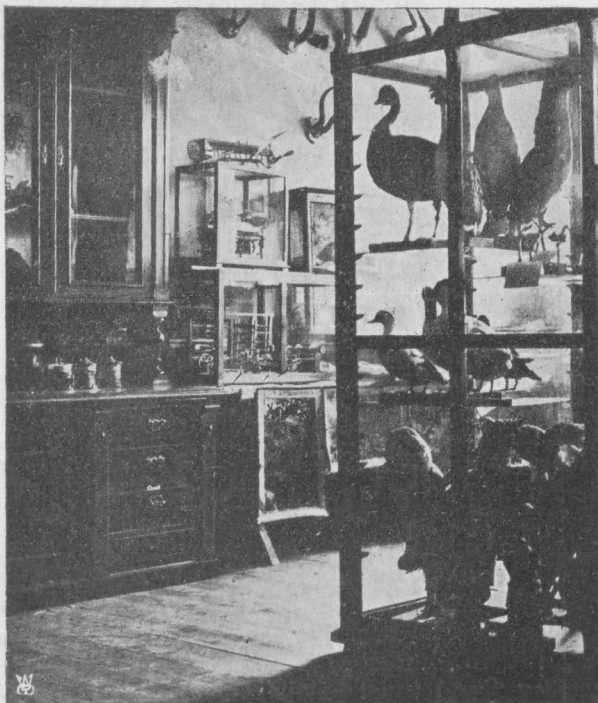
stolic runął koronowany gwałt, przemoc i ucisk w piekielną otchłań.

Wielka miara sprawiedliwości dziejowej zgasiła noc, a rozpałała świt Boży. Polska Macierz Szkolna powstała znów do życia, odrodziła się jak ów legendarny Feniks z popiołów, wzięła w siebie całą moc umiłowania ludzkiego i poszła przez wszystkie drogi polskie prosto ku słońcu. Było trudno, ciężko, męczące, było tak, iż zdawało się, że zabraknie już tchu w piersiach i sił do wytrwania, ale wielka idea, jaka świeciła podjętej pracy, dodawała mocy w uciążliwej, żmudnej wędrówce.

— Ani jednego analfabety, ani jednej biednej, nieoświeconej głowy, ani jednego człowieka, dla którego książka polska byłaby niedostępna. Szalony, forsowny wyścig z cywilizacją Europy, gorące, jak rozpalone żelazo, pragnienie przekreślenia wszelkich statystyk o polskim analfabetyzmie i nieuctwie!

Dwieście sześćdziesiąt kół, 115 czytelni, z górą 400 bibliotek, 116 kursów dla starszych, 7 uniwersytetów ludowych miejskich, 22 szkoły przemysłowe i handlowe, 21 szkół średnich, 20 burs dla młodzieży, a nadto 21 przedszkoli, które urządzają wykłady, przedstawienia, koncerty, wiece oświatowe i t. d. i t. d., oto zaledwie podszyty z grubsza dorobek dzieła, jakie prowadzi Polska Macierz Szkolna.

Na obszarze ośmiu województw: Wołyńskiego, Poleskiego, Nowogródzkiego, Białostockiego, Lubelskiego, Warszawskiego, Łódzkiego i Kieleckiego działa Macierz Szkolna w zakresie oświaty pozaszkolnej, szerzenia wiedzy o Polsce, budzenia instynktów państwowych i odpowiedzialności za Państwo w najszerszych masach, opieki poza szkołą, tam, gdzie bezpośrednio nie może rozszerzyć swojej działalności, we-



Muzeum Koła P. M. S. w Pabjanicach



Zarząd koła P. M. S. w Nalibokach, woj. Nowogródzkie

sza w ścisłą łączność z pokrewnymi instytucjami, a więc w Małopolsce z Tow. Szkoły Ludowej, na Pomorzu, w Poznańskim i Śląskiem z Tow. Czytelni Ludowych, wreszcie z Macierzą Wileńską, Cieszyńską i Gdańską. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że na trzydziestu kursach, stworzonych w roku 1923/4 dla przygotowania pracowników społecznych było z górą 3600 słuchaczy, to związując tę liczbę z temi, jakie rzuciliśmy wyżej, łatwo sobie wyrobić pojęcie o ogromie pracy, podjętej przez Polską Macierz Szkolną.

Cała organizacja tej wielkiej, rozwijającej się z miesiąca na miesiąc, instytucji, sprecyzowana jest w najdrobniejszych szczegółach, przemyślana z całą celowością podjętych zadań, świadoma wszystkich celów i dróg, jakimi kroczy i dąży. To też rozwijająca się sieć organizacyjna P. M. S. znaczyła województwa środkowe, a szczególnie w dobie obecnej, wschodnie punktami ognisk kulturalno-oświatowych, poczynając od najniższej komórki oświatowej, jaką jest czytelnia P. M. S. do Zarządów Wojewódzkich włącznie. Kraj cały pokrył się siecią doskonale zwią-



Kurs pracy oświatowej P. M. S. w Wieluniu 1925 r.

zanych ze sobą organizacji, skupiających się w Zarządzie Głównym w Warszawie, Koła lokalne, powiatowe i wojewódzkie konsolidują się z Zarządem Głównym, który wspierają wydziały: pedagogiczny, skarbowy i księgarski, spieszące wszystkim poszczególnym organizacjom, tam, gdzie zachodzi tego potrzeba, z radą i pomocą.

Tak się przedstawia w najpobieżniejszym zarysie, z lekka tylko podmalowanym, struktura organizacyjna P. M. S., ustalona ostatecznie i przystosowana do obecnych potrzeb społecznej pracy oświatowej.

Na czele tej wielkiej organizacji oświatowej stoją: prezes Józef Świeżyński i dyr. Józef Stemler.

* * *

Za parę dni zbliży się pamiętny dzień 3 Maja, który w roku bież. ma stać się dniem powszechnej radości i wesela. W kwieciu, w słońcu, w muzyce, w furgotaniu barwnych chorągiewek, w powszechnej

niefrasobliwości mamy spędzać dzień Konstytucji Majowej. Ale jednocześnie dzień 3 Maja ma się stać dniem zbiorowego czynu Narodu na rzecz powszechnego światła w Polsce; ma to być dzień wielkiej narodowej ofiary dla tych najniezwyklejszych, którzy toną w ciemnym morzu przeklętego przez wszystkie ludy Europy analfabetyzmu. Protektorat nad tym dniem przyjął Prezydent Rzeczypospolitej, który w odezwie swojej pisze:

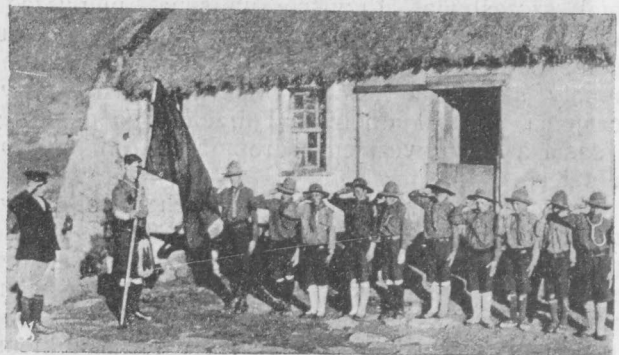
„Na wszystkich polach trzeba rozwijać potęgę Polski pod przewodem światła nauki. Nie żałujcie więc ofiar na cele oświatowe. Stokrotnie zwrócą się one w nowych zastępach oświeconych mężów i niewiast dobrych obywateli“.

Polska tych ofiar nie pożałuje.

Czesław Xawery Jankowski



Procesja wielkanocna w Maladze (Hiszpanja)



Skaucci na wyspie Tristan d'Acunha

KAPŁANKA DOMOWEGO OGNISKA

Pani Jasia jest jak staroświecki zegareczek: zawsze się śpieszy, chodzi bardzo cichutko, nigdy nie staje. Dawni znajomi przy spotkaniu z nią konstatają zdumiewający fakt: ta kobieta od dwudziestu pięciu lat nic się nie zmieniła, pozostała zeszlowieczną. Dom jej jest jeszcze ciągle domem z przed pierwszej rewolucji 1905 r., pomimo że świat poszedł swoją koleją, raczej pomknął tygrysiemi skokami.

Pani Jasia nie zestarzała się razem z nim, albo może od początku już była taka jak dziś. Ubrała się przecież zawsze tak samo, to znaczy zawsze niemodnie. Modernizowała swoje suknie i okrycia ze wstydliwym opóźnieniem paroletnim i to jedynie na skutek zbrojnej interwencji krawcowej, która stanowczo „inaczej robić nie chciała“.

Uczesanie? Pani Jasia ma zawsze gładko „ulizane“ włosy i gruby warkocz ciasno upięty z tyłu głowy. To, klasyczne uczesanie nieco przypominające „narzeczoną“ Grottgera, od czasu do czasu wraca do wody, ale pani Jasie jest zbyt zajęta innymi rzeczami, aby na ten drobiazg miała zwrócić uwagę.

Zakłady fryzjerskie, manicure, wszelkie gabinety piękności są w jej pojęciu miejscami zakazanymi, do których zwabia się podstępnie uczciwe kobiety, a pomadka do warg, kremy, róże, przypinane loczki to wymysły szatańskie, zapomocą których masoni dążą do opanowania świata.

Pod tym względem pani Jasia ma jeden tylko grzech na sumieniu. Oto czasem, gdy mają przyjść goście a nos jej się zbyt błyszczą od zabiegów kulinarnych przy rozpalonej blasze, ona ten nos dyskretnie zapudrowuje niewinnym ryżowym pudrem, używanym zwykle do tak zwanego „podsypywania“ niemowląt. Wygląda potem biedaczka, jakby dmuchnęła w worek z mąką, ale choć troskliwie ściera ślady przestępstwa z orzechowej toaletki, zawsze ją dręczy niepokój, czy czasem mąż, albo które z dzieci czego się nie domyśla. Wstyd! wstyd przed własnymi dziećmi, których matka przyczynia się do zgubnego dzieła masonów, oto rzecz, której pani Jasia napewno nieprzeżyła. Drugim takim faktem byłby moment, w którym ktoś zauważyłby pajęczynę w rogu pokoju, albo kurz na fortepianie, trzecim—gdyby, ba—by wielkanocne się nie udały.

Pozatem niema na świecie takich kataklizmów dziejowych, żywiołowych, rodzinnych, którychby żelazny organizm i pogodny umysł pani Jasi nie przetrzymał szczęśliwie. Przyjście na świat pierwszego dziecka kosztowało ją wprawdzie sporo, ale przy drugim już o wszystkim zdażyła zapomnieć, a następne sypały się jak z rękawa. Mąż pani Jasi z przyzwyczajenia chodził do biura i drzemał po obiedzie, pani Jasia z przyzwyczajenia dreptała po domu i rodziła dzieci.

Zresztą żadne z nich nigdy nie chorowało, chyba z przejedzenia (odra, koklusz, szkarlatyna się nie liczą, bo to przecież każde dziecko przejść musi, im wcześniej, tem lepiej). Od nagłych wypadków pani Jasia ma zawsze w podręcznej apteczce dużą flachę oleum ricini; przewlekłą zgagę leczy tysiącnikiem, pryszcze na twarzy bratkami zaparzanymi, dreszcze malinami. Pozatem wszystkim w całej kamienicy

stawia bańki, a zaufanym przyjaciółkom aplikuje z powodzeniem wypróbowany instrument, odgrywający tak ważną rolę w Moljerowskich komedjach.

Jej wiedza medyczna niczem jest wobec posiadanych przez nią tajemnic sztuki kulinarnej. Jej pierniczki wigilijne, torty imieninowe, bliny i ołatki postne, ryby faszerowane, bigosy staropolskie słyną w całej rodzinie. Co jest jednak więcej godne podziwu, to to, że pani Jasia umie robić przysmaki z niczego. Za niemieckiej okupacji, kiedy wszyscy truli się kartkowym chlebem, na stole pani Jasi dymiły się codziennie jakieś smakowite potrawy, zrobione z kartofli, wody i powietrza. Sekreta tych wynalazków nikt nigdy nie odkrył. Pani Jasia chętnie udziela przepisów na torty, ciastka parzone i nadzienie do indyka. ale gdy ją zagadują o jej okupacyjne arcydzieła, milcząca uśmiechając się tajemniczo. Zapewne chce skarby swej sztuki przekazać najstarszej córce, która nic a nic się tą sprawą nie interesuje. Cała pochłonięta nauką tańców rytmicznych, marzy o karierze kinowej.

Pani Jasia niepokoi się temi projektami. „Wyjdzie dziewczyna za mąż i skończą się te romanse“. I do głowy jej nawet nie przyjdzie, że „romans“ może się zacząć właśnie w kilka lat po ślubie...

Z literaturą współczesną nie ma przecież nic wspólnego. Czasem mąż w przystępie dobrego humoru przeczyta jej głośno artykuł z wieczornej gazety, przy którym pani Jasia usypia słodko, kiwając się nad cerowanymi skarpetkami, o pożarach, napadach bandytów i t. p. wypadkach dowiaduje się zwykle w miesiąc po fakcie, wydając kucharce stare gazety do wykładania półek. To staje się źródłem nieszkodliwych żartów ze strony bliższych znajomych, twierdzących, że pani Jasia nawet o końcu świata dowie się po miesiącu i będzie najspokojniej wycierała kurze, kiedy już wszyscy ludzie zgromadzą się na dolinie Jozafata.

Cała biblioteka pani Jasi to książka do nabożeństwa, kajety do rachunków, które prowadzi skrupulatnie od dnia ślubu, choć dotychczas nie wytworzyła



Zmarły patriarcha moskiewski Tichon, ogłosił kłamliwe dane o prześladowaniu cerkwi prawosławnej w Polsce.

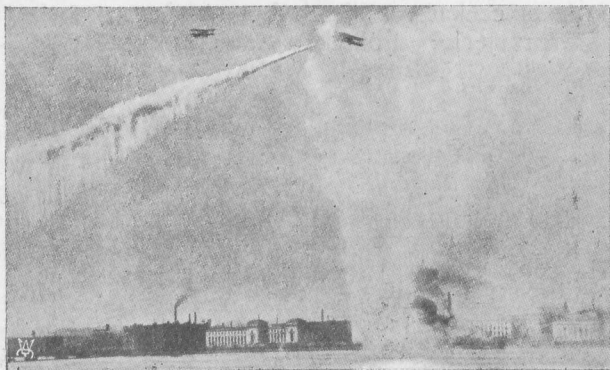
rzyła sobie pojęcia o budzecie domowym, — i kalendarzyk kieszonkowy.

Na tym kalendarzyku rozmaitego koloru ołówkami poznaczone są ważne uroczystości rodzinne: imieniny, urodziny, rocznice ślubów i śmierci. Te etapy w życiu pani Jasi upamiętniają się dwojako: tortem z cyfrą solenizanta albo wieńcem jodłowym na mogile nieboszczyka. Torty pani Jasia robi zawsze sama, nie dowierzając ani służącej, ani nikomu z domowników. Wogóle jak wszystkim prawie niewiastom chronicznie zapracowanym, brak jej zupełnie zmysłu organizacyjnego. Roboty nie umie rozłożyć na kilka osób i nie umie nikogo do niej pociągnąć i wdrożyć. Cały dom jest przyzwyczajony do tego, że mama tylko może wszystko zrobić. Reszta zawsze coś spartoli. Rezultat jest ten, że faktycznie pani Jasia krząta się za wszystkich i jest ustawicznie zmęczona. W imię oszczędzania pieniędzy marnuje mnóstwo sił i czasu na drobiazgi. Najciekawsze jest to, że ta krzątająca wszyscy tyją, ale nikt jej nie ocenia.

Dopiero gdy w pani Jasi pęknie wiecznie ruchliwe serce, jak sprężyna w staroświeckim zegareczku, poczują wszyscy, że uleciała na zawsze dobra dusza domu. Obiady odtąd zawsze będą się spóźniać, herbata będzie przeciągnięta, pieczeń przpalona, kartofle niedogotowane. Na zakurzonem fortepianie będzie można pisać ubliżające domownikom sentencje a po kątach, według wyrażenia pani Jasi, „rzepę siać“. Nikt już nie znajdzie przy mojem łóżku w wieczór sobotni stosiku wyreperowanej przez nią i przygotowanej na niedzielę bielizny, — ani w poranek imieninowy jakiegoś wyhaftowanego jej ręką drobiazgu pod serwetą.

Nikt już nie będzie smażył orzechów w miodzie na nugat dla dzieci, ani wiercił biszkoptowych tortów dla bezzębnych ciastek. W niepamięć pójdą rodzinne uroczystości, zmarnieją ulubione kwiaty i pleśnią zarosną nienawiedzane groby na Powązkach. Tylko stare krewne długo i serdecznie w głębi dusznych i ciasnych mieszkańek będą wspominały panią Jasię, i jej złote serce, ten staroświecki, wiecznie śpieszący się zegareczek, który swem drepczącym cykaniem znaczył rytm codziennego życia w pocziwym, szarym, polskim domu.

Stefania Podhorska-Okolów



Zastony gazowe z aeroplanów stosowane w Anglii

PRZEGLĄD TEATRALNY

Sztuka, którą wystawił obecnie Teatr Letni, nazywa się „Fata Morgana“. Ma to być symboliczne. Że niby w życiu ukazują się miraż. Jeden bierze taki miraż na serjo, a drugi — nie.

Rzecz dzieje się na odludziu węgierskim. Wszyscy domownicy pojechali daleko na bal. Został tylko student dziewiętnastoletni. Tęgi, zdrowy chłopak. Niewinny przytem, jak lilijka. Został i uczy się, ale nauka idzie mu niesporo. Podnieca go upał i atmosfera puszy węgierskiej. Na dobitkę ostatnim pociągiem budapeszteńskim zjeżdża kuzynka. Miała też jechać na bal. Spóźniła się i jest uwięziona formalnie na tem pustkowiu. Kuzynka jest młoda, ładna, gruntownie zepsuta, przytem ma bogatego i brzydkiego męża. Wobec „sytuacji bez wyjścia“ (upał, wokół niema żywej duszy, atmosfera puszy, student młody tęgi chłopak etc.), kuzynka Matylda roztacza przed zdumionemi oczyma Jerzego wszystkie ponęty, któremi kobieta rozporządza. Wreszcie, prawie na wzór Henrietty i Frania w „Schadzce“ Grubińskiego, uświadamia biednego chłopczykę. Kuzynka mile i przyjemnie spędziła czas nocy. Jerzy był szczęśliwy. Był to miraż. Ale głupiutki Jerzy wziął to na serjo. Gdy nazajutrz przyjechał mąż, Jerzy urządza najnieprawdopodobniejszą, węgierską awanturę. Chce się z Matyldą zenić. Robi się skandal. Wreszcie po bohatersku Jerzy się poświęca, odwołuje wszystko, zwala na gorąco, pusztę, że mu uderzyło do głowy. Wszystko się kończy dobrze. Matylda, odjeżdżając, zamawia go sobie na wszelki wypadek w Budapeszcie... Biedny Jerzy zostaje z sercem złamanem...

Choć sporo się osób kręci na scenie, sztuka oparta jest na dwu figurach: Matyldy Fay, którą gra p. Cwiklińska, i Jerzego, (p. Hnydziński). Niezła komedyjka dla publiczności Teatru Letniego. Dzięki grze p. Cwiklińskiej i p. Waltera (Gabriel Fay) wybuchy śmiechu rozlegały się dość często na widowni.

A czyż więcej potrzeba?

Wł. W-t



Mr. Renaud, podróżnik po Afryce, z wielkimi okazami goryla i szympansa

LWI PAZUR IRLANDCZYKA

Profesor francuski Edward Guyot wydał dla swych rodaków tuż przed wojną studjum o Anglii współczesnej. W dziele swem powiada, że chcąc zrozumieć rozwój duszy angielskiej w ciągu ostatniego ćwierćwiecza przedwojennego, należy zbadać ducha trzech pisarzy: Williama Morrisa, Bernarda Shaw'a i George'a Herberta Wellsa.

Imię Bernarda Shaw nie jest obce społeczeństwu polskiemu. Teatry nasze jeszcze przed wojną grywały jego sztuki.

Pamiętamy przecież świetne kreacje Wojdałowicza i Szymanowskiego w „Profesji Pani Warren“, wystawionej w Teatrze Letnim. Niezwykła to była sztuka, tak niezwykła, jak jej autor. Prawdziwa bomba na pełne pruderji społeczeństwo angielskie. Zabroniono ją, zdaje się, grać w ojczyźnie autora. Tem rychlej więc przedostała się na kontynent. Gościła na wszystkich prawie scenach niemieckich. Poznała ją Polska, zawitała do Rosji.

Takich sztuk, pełnych gryzącej, piekielnej ironji, rzucanej odważnie, nawet brutalnie w oczy własnemu przedewszystkiemu społeczeństwu, napisał Shaw niemało.

Urodził się Shaw w Dublinie. Liczy obecnie lat 59. Aczkolwiek Irlandczyk, rodzinne tradycje ma protestanckie. Młodość miał bardzo ciężką. Mając lat dwadzieścia przybył do Londynu. A nie miał żadnego zawodu określonego. Robił najprzeróżniejsze rzeczy czyli zarabiał na chleb. Pierwsze pięć lat jego zawodu pisarskiego upłynęło na pisaninie... artykułów, reklamujących preparaty lekarskie. Poznawał więc życie z najciemniejszej, ale i z najciekawszej strony.

W pewnym klubie dyskutującym zagadnienia moralne, zetknął się z Sidney Webb. Był to historyk angielskich związków zawodowych. Przez niego zapoznał się Shaw z socjalistami. W owym czasie dużo hałasu narobiła głośna publikacja Henry George'a: „Postęp i Nędza“. Oczywiście wywarła ona wpływ i na żywy umysł Shaw'a. Został socjalistą. Jego zdolność sarkazmu włożyła mu pióro do ręki w celu pisania, tym razem już nie reklam lekarskich, lecz artykułów, świetnych artykułów publicystycznych. Został krytykiem społecznym. Zaciągnął się na długie lata do ciężkiej, żmudnej pracy w Stowarzyszeniu Fabjanów. Stowarzyszenie to, założone przez intelektualistów angielskich, położyło ogromne zasługi nad podniesieniem poziomu myśli społecznej drogą wydawania publikacji. Dziesiątki broszur i pamfletów napisał Shaw dla Fabian Society. Zasiadał w radach gminnych. Swój czas i siły poświęcał sprawom komunalnym. Wszędzie wnosił swą niestrudzoną energję oraz wyrafinowany zmysł krytyczny.

Przechodził różne koleje losu. Miewał okresy życia bardzo ciężkie. Ale nic nie zdołało zabić czy przytłumić w nim pisarza.

Talent wrodzony, niepospolity talent pisarski sprawił, że świat zna Bernarda Shaw przedewszystkiem jako dramaturga. Paradoksy Bernarda Shaw'a, rzucone na estradzie przez bohaterów jego sztuk, są słynne na obu półkulach. Posiadają moc zabijania.

W sztuce „Major Barbara“, graanej przed paru laty w „Teatrze Polskim“, na pytanie syna odpowiada

Undershaft: Moja religja? Well, mój kochany. Jestem milionerem. To jest moja religja.

To też świat bogaczy, którzy nie mają religji, nie lubił Bernarda Shaw. I dlatego sztuki jego niezawsze cieszyły się w Londynie powodzeniem. Co prawda Shaw nie wiele sobie z tego robił. Przed paru tygodniami odbył się w Londynie zjazd przedsiębiorców teatralnych (t. zw. „producers“). Prezes ich wysłał do Shaw'a list, prosząc, by zaszczylił bankiet swą obecnością:

„Producers ucieszyliby się niezmiernie, gdyby nareszcie w swoim gronie ujrzeli człowieka, na którym całe swoje życie tracili pieniądze“.

Uprzejma na to odpowiedź Shaw'a była tego rodzaju, że dziękuje bardzo; nie będzie, ponieważ mniej jest spragniony widoku finansistów teatralnych, niż oni jego towarzystwa, a w każdym razie żałuje bardzo, że niema takiego odważnego, któryby całe szanowne towarzystwo przedsiębiorców teatralnych wysadził w powietrze.

Taki jest Shaw. Niezbyt uprzejmy, ale szczerzy. Wypowiedział to, co każdy z autorów na jego miejscu pomyślałby, ale bałby się powiedzieć. Shaw jest odważny. Z każdej jego sztuki bije odwaga. Pełna tej odwagi, a przytem i wielu innych zalet, jest jego sztuka *Święta Joanna*, niedawno grana z wielkimi powodzeniem w „Teatrze Polskim“. Obecnie wydana w edycji książkowej. Wydanie książkowe zawiera całkowity tekst sztuki. W teatrze podziwialiśmy sztukę z dużymi skrótami. Ponadto „Świętą Joannę“ poprzedził Shaw przedmową. Jest to spowiedź autora. Niezwykłe, olśniewające paradoksy i rzuty myślowe. Jak zawsze to, co Shaw mówi. Przedmowa ta stanowi credo tego Europejczyka świata myśli. Jest dokumentem. Ludzie nierozumni napadają na wielkiego Irlandczyka, że burzy religję.

Nie! Shaw nie jest pozbawiony uczuć religijnych. On tylko burzy fałsz i kłamstwo. Smaga niemiłosiernie swą satyrą obłudników i świętoszków. Ten wielki romantyk, spokrewniony duchowo z Peer Gyntem, ten socjalista, a zarazem przeciwnik zdecydowany Marxa, uważa, że trzeba założyć nowe fundamenty pod gmach religijny. Dotychczasowe są na nic. Ludzie temu winni.

Piękną sztukę, pełną nieoczekiwanych błyskawic myśli, docierających do samego jądra, zamykają słowa Joanny:

„O Boże, któryś stworzył tę ziemię cudowną, pókiż nam czekać, aż się godną stanie na świętych Twoich przyjęcie? Pokąd, o Panie, pokąd??“.

Lektor



Amerykanki starają się wprowadzić zasady cywilizacji wśród Irokezów

SERCA MĘŻCZYŹN 2)

Mężczyźnie obce jest chowanie się przed czynem, obawa odpowiedzialności, wygrzewanie się w pierzynie milczącego obserwowania: „trzeba pragnąć odpowiedzialności, dlatego wszędzie sobie zapewnić inicjatywę“ (Foché). Mężczyzna łaknie dzieła. Mężczyzna pragnie dokonywać, torować nowe szlaki. Woli być wielkim w małym zawodzie, wielkim na małym stanowisku, niż małym na wielkiej placówce. Mężczyzna nie zdolen jest patrzeć obojętnie, czy ograniczać się do żalów, gdy widzi zło najmniejsze. Żywiołem jego jest akcja — zmaganie się z wrogiem jest mu życiem i rozkoszą, zaś wrogiem jest każde zło, które szkodzi mu lub narusza jego etykę, czy dobro ogółu. Bowiem mężczyzna wie, czuje i rozumie, że nie żyje życiem oderwanym, lecz jest nikłą cząsteczką olbrzymianarodu, nikłem kółkiem najdroższej mu maszyny — własnego państwa.

Ale świadomość tej zależności, tej nikłości w obliczu świętego olbrzyma narodu, nie prowadzi do podłej samoobrony w postaci: „cóż ja jeden poradzę!“. Mężczyzna wie, iż wynik ogólny — to suma poszczególnych wysiłków, mężczyzna pamięta słowa Napoleona: „Nie legjony rzymskie zdobyły Galję, ale Cezar. Nie żołnierze kartagińscy wzbudzali trwogę w Rzymie, ale Hannibal. Nie falanga macedońska dotarła aż do Indji, ale Aleksander. To Fryderyk II przez siedem lat bronił Prus przed trzema największymi potęgami Europy, a nie żołnierze pruscy“. Prawdziwa jednostka jest potęgą, „zdecydowany człowiek — mówi Ford — uzyskać może prawie wszystko, czego pożąda“. Trzeba tylko chcieć, chcieć i umieć chcieć.

Ale od tego jest właśnie — mężczyzna.

Mężczyźnie obcą jest beczynność, poza chwilami nieodzownego wypoczynku. „Życie nie jest postojem — jest podróżą“ (Ford), kto stoi w miejscu, sam się cofa i zawadza innym. Mężczyzna zdąża — wie on, iż jego zadaniem ustawicznie przybliżać promienniejsze lepsze jutro, dla siebie, dla swoich, dla swego Narodu, dla ludzkości całej.

Mężczyzna zna, rozumie i kocha życie, wie, iż dzień każdy ma swoje wymagania. Nie znosi on skorupy, martwoty i bezmyślnego powtarzania starych błędów. Każdy dzień dzisiejszy jest mu lekcją życia, z której czerpie naukę na dzień jutrzejszy. Nie wstydzi się nauki i zmian. „Kto tak zaskrzepł, iż nie może się zmieniać, już nie żyje i jego pogrzeb jest tylko drobnym szczegółem“ (Ford). Mężczyzna jaknajrzadziej mówi „zrobię“ — a jaknajczęściej „zrobiłem“. Jest chłodny. Zrównoważony. Burze chowa na wewnątrz, pamiętny nauki Clausewitz'a: „duch, pełen hartu, to bynajmniej nie ten, który zna tylko wzruszenia, ale ten, którego najsilniejsze wzruszenia nie wytrącają z równowagi“.

Brutalność, niewyrozumiałość nie są cechami mężczyzn. Są to cechy, któremi na mężczyznę charakteryzują się obłudne niedołęgi. Nieustępliwość jest imitacją woli, imitacją złego gatunku.

Hasłem mężczyzny jest Fordowskie: „wstań i walcz! Jałmużna dla niedołęgów“.

Mężczyzna ma swoje dzieło i jemu oddaje lwią część sił i zapału. Nie pozostanie nigdy, jednak, obojętnym na żadną pożyteczną pracę, do której dla dobra swoich i swego Narodu, może się przyczynić. Mężczyzna umie kochać i umie nienawidzić. Nie umie i nie znosi jednego: ekliwego sentymentalizmu i pustego frazesu. Zna uczucie — obcą mu jest staropanińska uczuciowość. Jest silny. Zdobywca. Spokojny. Może zginąć — nie poddaje się nigdy.

Serca mężczyzn, to gleba, na której rosną precudne serca wodzów.

Prof. W. L. Evert.



Pani Kołontaj, poseł sowiecki w Norwegii słynna z rozwiązłego życia, propagatorka rozpusty



Manifestacje w Moskwie z powodu zabicia Bagieńskiego i Wiczorkiewicza

ESTETYKA WARSZAWY

I. Estetyka Krakowskiego-Przedmieścia

Piękno miasta zależy od jego położenia, od rozplanowania ulic i placów, od monumentalności gmachów, przyczem stronę estetyczną uzupełniają pomniki, wznoszące się na ulicach i placach.

Położenie Warszawy od strony Wisły jest piękne. Ulice, poczynawszy od placu króla Zygmunta, Krakowskie-Przedmieście i Nowy Świat do placu Trzech Krzyży, tworzą urozmaiconą linię ich kierunku, również wznoszą się przy nich gmachy, świadczące o poczuciu piękna i monumentalności u tych, którzy je stawiali, a nawet na linii tych ulic tylko widzimy nie liczne zresztą pomniki, jakie Warszawa posiada, a tak, jak są ustawione nieprzyczyniają się one do podniesienia estetycznego poziomu naszej stolicy,

Najpiękniejszy kawałek tej „dawnej Warszawy“ stanowi część Krakowskiego Przedmieścia pomiędzy kościołem oo. Bernardynów a kościołem oo. Karmelitów. Można by część tę nazwać „Salonem Warszawy“, gdyby, niestety, nie została oszpecona przez tych, których obowiązkiem było i jest dbać o wygląd estetyczny miasta, a więc przez nasze zarządy municypalne. A oszpeciły tę piękną część Warszawy wzniesione tam, z mało pachnącymi dodatkami, pomniki.

Oto, pomiędzy wspaniałą i monumentalną w swej klasycyzmie fasadą kościoła oo. Bernardynów a malowniczą i bogatą fasadą, również klasyczną, kościoła oo. Karmelitów, ustawiono w różnych czasach odrębne co do stylu, formy, charakteru, wartości artystycznej trzy, nawet różne wielkością, pomniki, najzupełniej siebie nieznoszące, a więc rażące dysharmonią.

W jednym rzędzie i dość siebie blisko widzimy: statwę Matki Boskiej, dzieło końca wieku XVII-go, bezwyrazowe co do stylu, lecz mające upamiętnić zwycięstwo oręża polskiego pod Wiedniem; pomnik „Wdzięczności Ameryce“, dzieło krańcowo nowoczesne, ustawione zaledwie przed kilku laty, oraz olbrzymi pomnik Mickiewicza, dzieło z przed laty trzydziestu, przeciętnie naturalistyczno-akademickie, z akcesorjami na tani efekt obliczone.

A jakby dla krwawej ironji, czy bezdennej głupoty, pomiędzy temi pomnikami sterczy wielka i wstręt-na buda cuchnącego klozetu z jego dodatkami!

To wszystko stanowić ma estetyczną całość!!

Takim „pięknem“ odznacza się „Salon Warszawy!!

Statua Matki Boskiej, związana z różnemi uroczystościami narodowo-regilijnymi, z wydarzeniami w okresie rewolucyjno-powstańczym 1861-64 r., a nawet i za okupacji niemieckiej, jest odpowiednia na swójem miejscu i niczem nieestetycznym nie razi. Kolosalny Mickiewicz zmniejszony być nie może, więc musi pozostać w miejscu, na którym go wzniesiono. Ale pomnik „Wdzięczności Ameryce“ z racji jego specjalnego charakteru artystycznego nie może i nie powinien pozostać na tym małym skwerze, mając jako tło dla siebie najzupełniej nieodpowiednią architekturę domów, stojących po drugiej stronie ulicy.

Ten pomnik musi być z miejsca tego usunięty, gdyż dla niego jedynie tylko duży zieleniec w parku Ujazdowskim (od ulicy Pięknej) jest odpowiedni. Tam,

na tle dalekiej zieleni drzew, jego bryła i jego linje znajdą dla siebie otoczenie, którego obecne miejsce dać mu nie może.

Zresztą, charakter artystyczny tego pomnika nie znosi sąsiedztwa ani statui Matki Boskiej, ani kolosalnego pomnika Mickiewicza. Tylko zarząd municypalny wszelkiego zmysłu estetycznego pozbawiony, mógł zezwolić na ustawienie tego pomnika na małym skwerze bardzo ruchliwej ulicy i w sąsiedztwie tak bliskim tych innych pomników.

Można wyrozumieć, że moskiewski satrapa, zarządzający interesami Warszawy, mając na celu obniżenie każdej wartości tego „gubernskiego“ miasta, pod pozorem potrzeby i wygody wzniesić kazał w bliskości czczonej statui cuchnący klozet. Ale żeby istniał on dotychczas, gdy Warszawa od siedmiu lat jest stolicą Polski wolnej, tego wybaczyć nie można ani naszemu zarządowi municypalnemu, ani jego komisji artystycznej, ani departamentowi sztuki, ani nawet i poszczególnym, choćby zmieniającym się naszym Rządom.

Co pomyśli o nas każdy cudzoziemiec, zobaczywszy w najpiękniejszej części miasta taki zespół „estetyczny“ (!!), jaki z klozetem tworzą różne co do treści i formy pomniki!

A my mamy pretensję być narodem posiadającym kulturę estetyczną własną, a jej głębi i wartości dajemy tym zespołom aż nadto wymowne świadectwo.

Skoro wszyscy są ślepi i głusi, więc wołam: usunąć pomnik „Wdzięczności Ameryce“ ze skweru na Krakowskim-Przedmieściu a przenieść go do Parku Ujazdowskiego.

Wołam głośniej: skasować ten hańbiący klozet, a nawet skasować w mieście budy klozetowe, gdziekolwiek one się znajdują, a klozety wybudować pod ziemią!

Oczyścić nakoniec „Salon Warszawy“.

Wincenty Trojanowski



Roald Amundsen, znakomity podróżnik, wybiera się w podróż aeroplanem do bieguna północnego

NASZE BOLĄCZKI

Dzień 3 maja, dzień święta narodowego, według nakazu z góry, ma być dniem radości i wesela. Od paru tygodni już głowią się nad tem specjalne komitety, jakby to tłumy ludności, wyprowadzone na ulice i place miasta, wprowadzić w beztroski szal i wesele; rodzą się coraz nowe pomysły, jedne bardziej myślniejsze i głępsze od drugich, a prym w tej bezgranicznej głupocie trzyma pewien świstek brukowy, myślący tylko o tem, ażeby przedzierzgnąć wszystkich ludzi, a przynajmniej czytelników swoich, w gromadę wyjących i skaczących błaznów.

Wszystkie te wysiłki urządzenia wesołości „po przykazu“ będą bezowocne, gdyż po 1) psychika ludności polskiej jest zgoła inna od ludności francuskiej, a po 2) zbyt wielu powodów do radości nie mamy.

Niech wszystkie te komitety postarają się o usunięcie wszystkich, dręczących nasz ogół trosk, niech sprawią, że nie będzie w kraju naszym analfabetów, głodnych, bezrobotnych, że inteligencja nie będzie zaliczana do parjasów narodów, że znikną mącące wszystko właśnie stronnictw, niech wszyscy naprawdę poczują się dziećmi jednej wielkiej potężnej matki — Polski, wtedy do serc naszych zawita prawdziwa, głęboka radość, nie hałaśliwa, nie wynoszona na ulicę na pokaz, lecz tymbardziej wielka i potężna.

Dzień 3 maja, dzień święta narodowego, mojem zdaniem nie powinien być dniem wszelkiego rodzaju błaznów, mających nieciężką sztuczną radość w sercach mas, lecz dniem poświęconym budzeniu wśród ludu kultu dla piękna, dla wiedzy, W dniu tym winny być udostępnione naprawdę szerokim masom wszystkie przybytki sztuki i wiedzy, gdzieby specjaliści prelegenci wyjaśniali im znaczenie ich dla narodu. Dzień ten winien być dniem olbrzymiej propagandy na rzecz nauki polskiej, która jest u nas dotąd jednym z najbardziej zapomnianych Kopcuszków. W dniu tym właśnie, jako w dniu najbardziej wzniosłego święta, winny być odrzucone precz wszelkie głupstwa i błaznony, a szary tłum choć na jeden dzień winien być podniesiony ponad zwykły, przeciętny poziom, winny mu być ukazane inne, szlachetniejsze cele poza pustą, bezmyślną wesołością.

Francja, zwłaszcza z okresu karnawałowego, nie może być dla nas wzorem do naśladowania we wszystkim, i dążyć winniśmy do stworzenia własnego oryginalnego typu święta narodowego.

* * *

Rząd, ażeby zachęcić szerokie masy ludności pracującej, a zwłaszcza urzędników, do „nakazanej“ wesołości w dniu święta narodowego, ofiarował im nowy dar, z którego niewiadomo tylko, czy będą zadowoleni. A mianowicie. nie podnosząc wcale mnożnej z powodu ustabilizowania cen, podniósł zato stopę podatku dochodowego od zarobków od 50 do 300 i więcej procent. A więc cieszyć i radujcie się... W każdym bądź razie coś podniesione zostało.



Znakomity śpiewak polski Jan Reszke zmarł w Nicei



Prezydium zjazdu b. wychowawców szkół warszawskich i praskich w dn. 19 kwietnia 1925 r. w lokalu Towarzystwa Wioślarskiego



Młodzież robotnicza w Londynie opuszcza szkołę publiczną. Kiedy, my doczekamy się tego?

Z TYGODNIA

Uwaga całego świata do tego stopnia zaprzętną jest sprawą wyborów prezydenta Rzeszy Niemieckiej, że wobec niej na plan drugi zeszło wiele innych pierwszorzędnych zagadnień.

Rzeczywiście, kwestja czy Niemcy będą republikańskie czy monarchiczne, jest kwestją pokoju lub wojny. Wyobrazicielem tej ostatniej feldmarszałek Hindenburg, za którym, według ogólnego mniemania, kryje się albo sam cesarz Wilhelm II, lub też następca tronu.

Wynik wyborów, odbytych w dn. 26 kwietnia, stwierdził raz jeszcze, że Niemcy nie wyrzekły się swych imperjalistycznych zamierzeń. Wybór na prezydenta Rzeszy feldmarszałka Hindenburga, jest wyzwaniem, rzuconem całemu światu. Nie ulega wątpliwości, że mocarstwa sprzymierzone zareagują na to odpowiednio i nie dopuszczą, by tlejące wciąż w Niem-



Prezydent Rzeszy Niemieckiej, feldmarszałek Hindenburg, obrany [dnia 26 kwietnia

czeh zarzewie przyszłej wojny nie zostało rozdmuchane do olbrzymich rozmiarów. Niemcy muszą poczuć, że nad nimi góruje wola całej ludzkości, która dość ma wojen, która pragnie pokoju.

Zamach bułgarski został już częściowo zlikwidowany, przyczem okazało się, że główne kierownictwo nim znajdowało się w Moskwie, która coraz dalej zapuszcza swe krwawe macki zbrodnicze.

Przed paru dniami odbyli krwawy występ na wiecu odbytym w Paryżu, przyczem zostały zabite 4 osoby, a szereg innych ciężko rannych. Rząd francuzki przedsięwziął ostre środki zapobiegawcze.

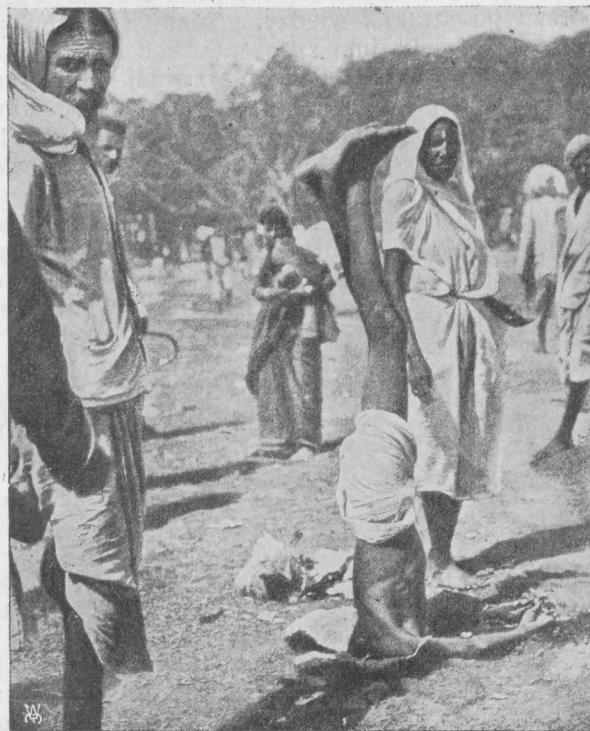
Czerwoni zbrodniarze z Moskwy, korzystając z święta robotniczego 1 maja, zamierzają wystąpić agresywnie w różnych miejscowościach Europy, przyczem przeznaczili na ten cel olbrzymie sumy, podczas gdy lud rosyjski tysiącami mrze z głodu.

Podpisanie w Warszawie przez dr. Edwarda Be-

nesza, ministra spraw zagranicznych Czechosłowacji, szeregu traktatów i umów, oraz serdeczny charakter tej wizyty, dały powód prasie całego świata do komentowania tego faktu, jako dowód wzrostu przyjaźni polsko-czeskiej, wywołanej koniecznością obrony przed imperjalistycznymi zachceniemi Niemiec.



Bóstwa mieszkańców wysp Karolińskich na Oceanie Wielkim



Fakir indyjski trwa w tej pozycji, z głową zakopaną w ziemi, przez 45 minut

DJIKININKI

— A czyż pustelnik-mnich, przebywający w Andjitsu na wzgórzu sąsiednim, nigdy nie odprawia obrzędów pośmiertnych? — spytał Muso.

— Pustelnik-mnich? — ze zdumieniem wykrzyknął młody człowiek.

— Ten, który wczoraj wieczorem skierował mnie do was, — odrzekł Muso: Zastukałem do niego, lecz on nie chciał dać mi gościny i wskazał mi drogę tutaj.

Zdumieni włościanie spojrzeli na siebie, i po krótkiej chwili milczenia gospodarz rzekł:

— Na tem wzgórzu niema ani pustelnika, ani Andjitsu, świętobliwy ojcie. Już od kilku pokoleń niema w naszych stronach stałego kapłana.

Muso nic nie odpowiedział. Zrozumiał że jego dobrzy gospodarze uważali go za ofiarę złych duchów. Pożegnawszy się z nimi i otrzymawszy wskazówki co do dalszej drogi, zdecydował się raz jeszcze odszukać Andjitsu na wzgórzu, ażeby przekonać się, czy rzeczywiście było to li tylko złudą. Bez trudu znalazł stary domek, i tym razem starzec-gospodarz poprosił, ażeby wszedł do wnętrza. Kiedy usłuchał, pustelnik pokornie uklonił mu się aż do ziemi i rzekł:

— Ach, tak mi wstyd, tak mi wstyd!

— Czy tego, żeście mnie nie wpuszcili wczoraj? — spytał Muso: nie macie się czego wstydzicie, wszak skierowaliście mnie do tej wioski, gdzie przyjeżdżałem nader uprzejmie. Dziękuję wam!

— Nikogo nie mogę przyjmować, — odrzekł pustelnik: I wstyd mi nie dlatego, że nie wpuszciliście was. Wstyd mi tego, że widzieliście mnie w naturalnej mej postaci: wszak to ja pożarł poprzedniej nocy trupa i ofiary. Wiedzcie, święty ojcie, że ja ludojad—djikininki. Zlituj się nademną, pozwól wyjawic ten grzech, za który skazany jestem na podobnie haniebną egzystencję. Przed wielu laty byłem kapłanem w tych dzikich stronach. Na wiele mil wokoło nie było innego, i wszystkie zwłoki zmarłych włościan przywożono do mnie, często zdaleka, celem odprawienia pogrzebowych modlitw i obrzędów. Lecz ja niedbale odmawiałem modlitwy i odprawiałem obrzędy, myśląc tylko przytem o smacznem jedzeniu i strojach, jakie dawała mi moja godność. I za karę za te grzeszne myśli natychmiast po śmierci odrodziłem się w postaci djikininki. Od tego czasu skazany jestem na karmienie się trupami zmarłych w tej wsi. Muszę pożerać ich wszystkich tak, jakieście widzieli ubiegłej nocy... Błagam was, świętobliwy ojcie, odmówcie dla mnie święte modlitwy Segaki. Zaklinam was, pomóżcie mi świętą modlitwą waszą od uwolnienia się jaknajprędzej od podobnie haniebnej egzystencji.

* * *

I nasz pustelnik znikł, znikł i domek jego. Muso Kokushi znalazł się naraz sam jeden w wysokiej trawie, klęcząc przed porośłą mchem starożytną mogiłą, mogiłą kapłana,—go-riu-ishi.

Przy drodze Akasaka w pobliżu Tokio znajduje się wąwóz pod nazwą Kii-no-kuni-zaka, t. j. wąwóz prowincji Kii. Pochodzenie tej nazwy jest nieznane. Z jednej strony drogi głęboki, szeroki wąwóz, z urwistym brzegiem, który u góry kończy się ogrodem. Z drugiej strony drogi rozciągały się wysokie mury zamku. W tych odległych czasach, kiedy nie było jeszcze latarni ulicznych, ani rikszy, miejscowość ta z nastaniem zmroku stawała się zupełnie pustą, i zapóźniony przechodzień chętnie nadkładał drogi o kilka mil, nim zdecydował się wdrapać sam na Kii-no-kuni-zaka.

I wszystko dlatego, że w miejscach tych krążyła Mudjina.

* * *

Ostatni, kto ją widział, był stary kupiec z okręgu Kiobashi, zmarły przed trzydziestu laty. Oto co opowiadał o swojej przygodzie:

Razu pewnego, kiedy późną nocą, spiesząc się, wchodził na Kii-no-kuni-zaka, zobaczył kobietę, która płacząc rzewnie, siodziła na piętach u skraju przepaści. Przeraził się, myśląc, że chce pozabawić się życia, rzucić się do wody, i zatrzymał się, ażeby pocieszyć ją, rozpytać i dopomódz. Wydawała się zgrabną i przystojną, była strojnie ubraną i uczesana, jak młoda dziewczyna ze znakomitej rodziny.

— O-djokku*), — wykrzyknął, podchodząc do niej: O-djokku, nie płacz tak!.. Powiedz mi, co cię tak zasmuca? Zrobię wszystko, ażeby ci dopomódz.

I rzeczywiście pragnął jej dopomódz, gdyż był bardzo dobry. Lecz ona nie przestawała łkać, kryjąc twarz w fałdach szerokiego rękawa.

— O-djokku,—powtórzył czule: Proszę, proszę bardzo, wysłuchaj mnie! O takiej godzinie nie miejsce tu dla młodej dziewczyny! Nie płacz!.. Błagam cię! Powiedz mi tylko, co mogę zrobić dla ciebie!

Powoli podniosła się, lecz nie zwracała się ku niemu i nie przestawała łkać, zakrywając twarz rękawem. Łagodnie położył rękę na jej ramieniu i błagalnym głosem mówił dalej:

— O-djokku! — O-djokku! — O-djokku! Wysłuchaj mnie, no, wysłuchaj mnie!... O-djokku! — O-djokku!..

Naraz kobieta odwróciła się ku niemu, odrzuciła rękaw i dłonią uderzyła się w twarz, — i kupiec ujrzał, że nie miała ani oczu, ani nosa, ani ust, i z krzykiem przerażenia począł uciekać.

Szalony z trwogi, wbiegł na Kii-no-kuni-zaka, i z trudem chwytając powietrze, biegł wciąż dalej i dalej. Przed nim wszystko było czarne, i puste, i straszne. Biegł coraz dalej i dalej, obawiając obejrzeć się poza siebie. Nareszcie zobaczył latarnię, lecz tak daleko, że wydawała się nie większą od robaczka świętojańskiego.

(D. c. n.)

*) Pełny szacunku zwrot do nieznanym młodej kobiety.

JOHN GALSWORTHY

10)

SĘDZIA PRZYSIĘGŁY

Czekała go tam wykwintna kolacja: różne mięso, ciasto, wódka, papierosy, nawet wczesne brzoskwinie. Spojrzał na te brzoskwinie raczej ze smutkiem niż wstrętem. Zbytkowne owoce należały do tych wartości, które odczuwał teraz w obliczu nowego i niespodziewanego objawienia. Swoją rozkoszną świeżą barwnością zdawały się tem jaśkrawiej oświetlać nieprzebitą mur rzeczy materialnych, którymi tak cieszył się dotychczas, które hodował i pielęgnował wokół siebie przez wszystkie te lata. Nie tknął ich i podszedł do okna. Na dworzu z wolna zapadała ciemność; tonęła już w niej fontanna, lipa, klomby i pola ciągnące się tam w dal z trzodami pasących się na nich krów, które dzwon wieczorny miał niebawem zwołać pod dach. Otulało się to wszystko powoli mrokiem, rozpływało w łagodnym zmierzchu, rozwiewało zgoła przed oczami, a mimo to, był to ten sam mur rzeczy doczesnych, rzeczy posiadanych.

Usłyszał, jak się otwarły drzwi bawialni, doszedł go z hall'u głos żony i nauczycielki, udających się na spoczynek. „Obyż tylko tu nie zajrzały!“. Głosy ucichły. Teraz jest bezpieczny, ale za parę minut trzeba będzie iść przekonać się, czy Kate już jest sama. Odwrócił się i spojrzał w głąb długiej ciemnej jadalni, poprzez wielki stół, tam gdzie w lustrze kredensu zarysowała się jego własna postać, niby rozlewna plama, nikły cień; podążył ku niej wzdłuż stołu i podszedł do zwierciadła jak tylko mógł najbliżej. Czuł, że mu w gardle i w ustach zasycha od zdenerwowania; dotknął palcem swojego odbicia: „Osioł jesteś, pomyślał. Weźże się w garść i załatw już raz to wszystko. Ona zrozumie, napewno zrozumie!“. Wyprostował się, pokręcił wężą i wyszedł.

Gdy wchodził na górę serce tłukło mu się w piersiach boleśnie, ale opanował się i skierował kroki wprost do jej pokoju.

Siedziała przed lustrem, otulona w miękką błękitną bluzę, rozczesując swoje czarne, lśniące włosy. Pan Bosengate podszedł do niej i stanął w milczeniu z opuszczonymi oczami.

Słowa, które był sobie obmyślił szumiały mu w głowie niby rój niesfornych pszczoł i żadne nie chciało precyzyjnie mu się przez wargi. Żona wciąż czesała włosy; blask lampy padał na jej obnażone ramiona. Spojrzała na niego z lekka podnosząc powieki:

— I cóż, mój drogi, zmęczonyś, prawda?

Z ust wyrwało mu się porywczo jedno tylko słowo: „Neil“. Leciutki trochę ironiczny uśmiech przemknął po jej twarzy; ramiona jej drgnęły delikatnie. Ruch ten znał, widział go już kiedyś indziej. W rozpaczonym wysiłku, chcąc, by go ona raz wreszcie zrozumiała, położył rękę na jej białym ramieniu.

— Katheleen, przestań! — posłuchaj mnie!

Pragnął całą duszą podzielić się z nią swoim odkryciem, w podnieceniu palce zacisnęły mu się kurczowo, i zanim jakikolwiek wyraz zdążył paść z jego ust do świadomości wdarł mu się czar jej chłodnego ramienia i półprzymkniętych, ślizgających się po nim oczu, jej białej szyi, otulonej w błękitną tkaninę.

— Ja chciałem, — ja muszę Kate..., — wyjąkał zmieszany:

Znowu leciutko drgnęły jej ramiona.

— Wiem... dobrze!

Oblał go war pragnienia i wstydu i niewiedomości jeszcze czego; padł na kolana, przylgnął do niej czołem i milczał, milczał jak grób. Z piersi nie mógł wydobyć jednego dźwięku, westchnął tylko głęboko. Nagle poczuł jej rękę, pieściwie i jak mu się zdawało, litośnie gładziła go po twarzy. Kate zrobiła lekki ruch ku niemu, ich usta spotkały się; zapomniał o wszystkim, czuł tylko ten pocałunek.

Pan Bosengate siedział w swoim pokoju przy otwartym oknie, paląc papierosa. Było ciemno. Wschodził księżyc. Gdy tak trwał, puszczając kłęby dymu w mroki nocy, ogarnął go głęboki spokój. Dziwne jest życie, dziwny jest świat, dziwne te siły, które popychają człowieka w wprost przeciwną stronę niżby chciał iść, zawsze i zawsze zmuszają go, jakby się zdawało do czegoś zgoła przeciwnego. Niepewna poświata wschodzącego księżyca, prześlizgując się między konarami drzew, wyłaniała z cienia coraz to nowe przedmioty.

„Przekorny jakiś duch, myślał, ciąży nad wszystkim. Wszystko co się staje, staje się zupełnie inaczej niżesmy to sobie zamysłali. Chciałem, usiłowałem, ale widocznie człowiek nie może przeobrazić się tak odrazu. Tak, życie jest nieraz za wielkie na naszą miarę. Wszystko jedno, nie jestem już tym samym człowiekiem, jakim byłem dotąd, jakim byłem jeszcze wczoraj, a przynajmniej — niezupełnie tym samym“.

Przymknął oczy i w jasnowidzeniu, jakie natchodzi na nas, gdy zmysły śpią, ujrzał samego sie-

bie gdzieś na dnie ulicy, wąskiej jak mogiła, zaciśniętej murami niby ścianą wysokich zwałów górskich — w głębokiej i ciemnej szczelinie ulicznej; krążył tam niby drobna czarna muszka między innymi czarnymi muszkami: żoną, małym żołnierzkiem, prezesem sądu i owymi sędziami przysięgłymi, *fantoche*s, wspinającymi się na słabych cieniutkich nóżkach; wszyscy krążyli tam pospołu po tej ciemnej, bezmiernie wysokiej i zaciśniętej ulicy.

„Za ciężko na jednego, myślał, za wysoko, nie wdrzesz się na szczyt. Trzeba tylko być do brym, trzeba pomagać sobie wzajemnie i nie spodziewać się zbyt wiele i nie nazbyt wiele mniemać o sobie. Ot i wszystko“.

Zgasił papierosa, wciągnął parokrotnie ożywcze powietrze nocy i udał się na spoczynek.

K O N I E C

SPÓŁDZIELNIA ROBOTNICZA w Ł O D Z I

Spożywca, ażeby się do pewnego stopnia uniezależnić od wyzysku, zmuszony jest stwarzać własne organizacje spółdzielcze, w których dopiero ma możliwość bronienia się przed wysoką kalkulacją towarów, sprzedawanych przez różnych handlarzy prywatnych. W tym celu mieszkańcy jednego z przedmieść Łodzi, Widzewa, zorganizowali w 1906 roku własną spółdzielnię, zakładając jeden sklep przy ul. Rokicińskiej 111, przy ogólnej liczbie członków 80.

Z czasem sklep ten nie mógł zadowolić wymagań członków, których liczba stale się powiększała, i władze spółdzielni zmuszone były otworzyć drugi, trzeci sklep itd. Dziś to Stowarzyszenie, zwane Widzewską Spółdzielnią Spożywców, posiada już 8 sklepów spożywczych, ma dwie posesje zabudowane i jedną niezabudowaną, na której ma zamiar wybudować wielki dom spółdzielczy pod na-



Spółdzielnia spożywców w Widzewie

zwą „Dom Ludowy“, ma własną piekarnię, stajnię o 7 koniach, prowadzi własną oborę i rolnictwo, członków dziś liczy 3,900.

Chcąc swym członkom dać możliwość zaopatrywania się w najniezbędniejsze artykuły codziennej potrzeby, zaprowadzono własne warsztaty szewc-



Spółdzielnia spożywców w Widzewie

kie i kamasznicze, w których [stale bez przerwy pracuje 28 pracowników, posiada własny warsztat rzeźniczy i dwa sklepy masarskie, z których jeden niedawno otwarty mieści się we własnym budynku Spółdzielni.

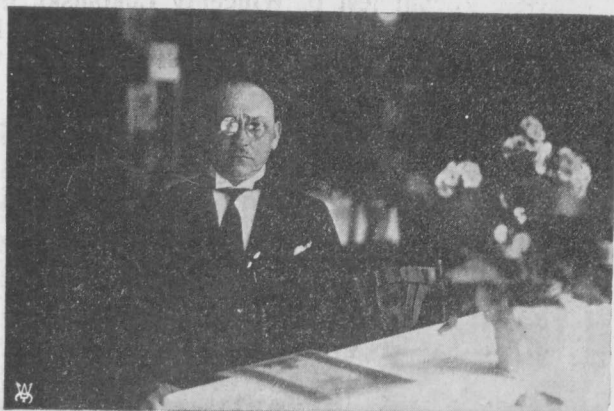
Spółdzielnia ta, nie zadawalając się jeszcze dotychczasowymi [działami, postanowiła otworzyć własny warsztat krawiecki, by członkom swoim dać możliwość ubierania się solidnie i tanio z towarów pierwszego gatunku. Warsztat ten niedawno został otwarty a już swoją intensywną pracą zdołał zjednać sobie szeroki ogół członków, gdyż wyniki pracy są nader dodatnie. Z tego widać, że potrzeby spożywców są bardzo duże i dlatego też „Widzewska Spółdzielnia Spożywców“ nie poprzestaje na artykułach spożywczych, ale dąży do dania swym członkom wszystkiego tego, co jest potrzebne do codziennego użytku.



Restauracje przy hotelach:

BRÜHLA — Fredry 12, tel. 20-50 BRISTOL — Krak.-Przedm. 42, tel. 14-77

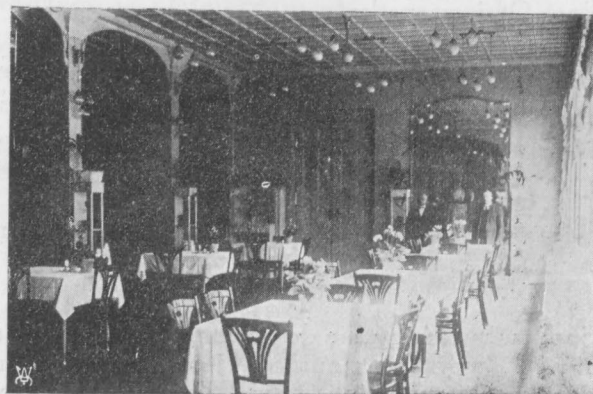
W r. 1919 została zorganizowana spółka, oparta na zasadach spółdzielczości, złożona z 63 osób, która wzięła sobie za zadanie prowadzenie dwóch znanych znakomicie z tradycji pierwszorzędnych zakładów restauracyjnych przy hotelach Brühla i Bristol.



P. Wład. Kowalski, prezes Zarządu restauracji hotelu „Bristol”

Prezesem spółki został już po raz drugi obrany p. Władysław Kowalski, z zawodu handlowiec, znany w szerokich kołach ze swej energii i znajomości rzeczy.

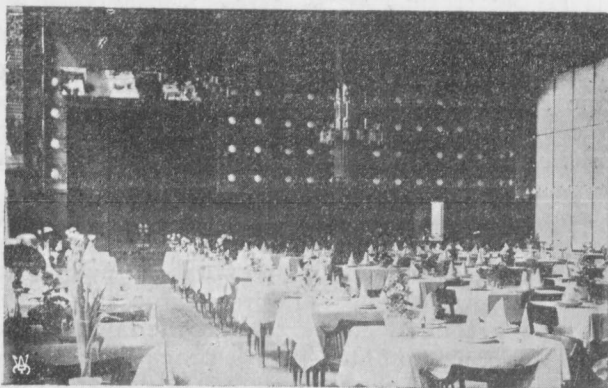
W najbliższych dniach zarząd spółki przygotowuje warszawianom niespodziankę przez otwarcie gruntownie odnowionej restauracji hotelu Brühla, w wytwornych salonach której znajdą wszyscy miły odpoczynek oraz godziwą rozrywkę, po całodziennym dniu pracy.



Sala restauracji hotelu „Bristol”

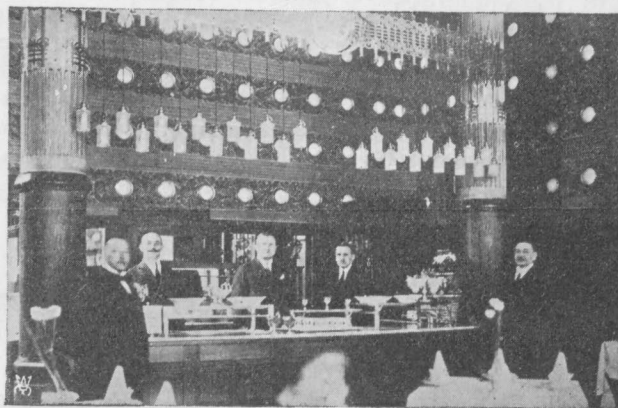
Zdjęcia z wspaniale odnowionych salonów zamieścimy w jednym z najbliższych numerów.

W obydwóch zakładach przygrywają znakomite



Sala restauracji hotelu „Bristol”

Zarząd spółki, przejęty stale myślą o utrzymaniu zakładów na możebnie najwyższym poziomie, największy nacisk położył na komfort lokalu i dobroć kuchni, bufetu i piwnicy, wszystkie te punkty doprowadzając do perfekcji w restauracji hotelu Bristol, dorównywującej najpierwszorzędniejszym podobnego rodzaju zakładom zagranicą.



Bufet restauracji hotelu „Bristol”

orkiestry: w restauracji hotelu Bristol kwartet pod dyrekcją Romano, w restauracji hotelu Brühlowskiego pod dyr. Szulca.

Zwracamy przytem uwagę, że niema tam jazzbandu, który w ostatnich czasach stał się prawdziwą plagą publiczności w restauracjach warszawskich.

RESTAURACJA

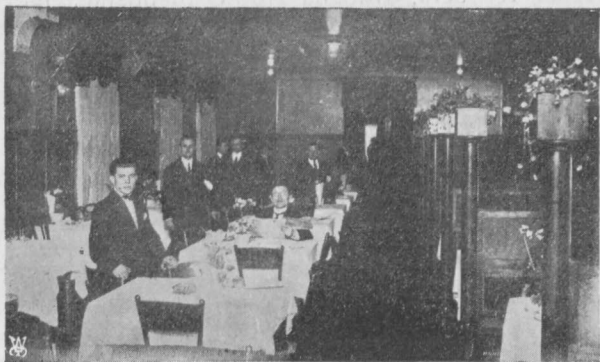
p. f. „WRÓBEL”

Mazowiecka 14, tel. 18-27

Komu z mieszkańców Warszawy, ba, nawet i całej Rzeczypospolitej nie jest znaną jedną z najstarszych w stolicy, gdyż założona w r. 1853, restauracja p. f. Wróbel. Wszak na słynnych flakach gromadziła się tam cała elita umysłowa Warszawy, przytulne salony

zarząd z 5 osób, wybrany w r. 1922, a pozostający pod kierownictwem prezesa, p. Ignacego Millera.

Szefem kuchni jest p. Wincenty Łukomski, handlowiec, który po odbyciu praktyki w restauracji hotelu Europejskiego, następnie przez szereg lat prowa-



Sala restauracji p. f. „Wróbel”



Bufet restauracji p. f. „Wróbel”

zapełniała młodzież uniwersytecka i pracująca, spotykały się w nich wszystkie warstwy społeczne, zawsze było rojno i gwarno, a anegdoty stałych bywalców „Wróbla” krążyły po mieście, budząc ogólną wesołość.

Sławę „Wróbla” opiewali rymami najlepsi wierszopisarze, a utrwalałi w rysunkach tacy mistrze, jak Kostrzewski i Mucharski.

Świetną tą tradycję utrzymuje w pełni obecny

dził kuchnię w pierwszorzędnym miastach Rosji, oraz w Nicei.

Nic dziwnego też, że przy takim kierownictwie wysoki poziom restauracji został utrzymany i że frekwencja publiczności wzrasta stale.

Dalsze szczegóły o znakomitej restauracji p. f. „Wróbel”, podamy w następnym numerze.

PO RAUCIE.

Bankier Iks do córki:

— No, moje dziecko, przyznaj się, ile razy wyrzekłaś się dziś wieczorem zostać hrabiną albo baronową?

OMÓWIENIE.

Wujaszek:

— (Janek, powiedz-no, na jakiej stopie stoisz właściwie z tym jegomością, któremu się przed chwilą kłaniałeś?

— Siostrzeniec:

— O, z nim stoję tylko na prawnej stopie procentowej.

PRZESTROGA MATKI.

Powieściopisarka do córki.

— Porzuć raz te miłostki! W życiu Edwarda jesteś tylko „epizodem”! Musisz poszukać takiego, w którego życiu stałabyś się „katastrofą”.

NASZE DZIECI.

Matka:

— Janeczku, trzeba iść spać. Widzisz, kurczątko chodzą też spać z zachodem słońca.

Janeczek:

— Tak, ale kokoszka nie wychodzi do teatru, tylko idzie spać razem z niemi.

W ZAPALE.

Nauczyciel:

— Iksowicz, jesteś bezwstydnym próżniakiem, źle wychowanym arogantem, bezgranicznym osłem! Spotkawszy twego ojca, powiem mu to samo!

ZŁOŚLIWA KRYTYKA.

— Jakże się panu podoba mój romans?

— Niech pan zrobi z tego libretto i każe sztukę wystawić jako pantominę.

30 franków dziennie

nawet bez porzucania swego za-
jęcia dostaną zawsze i wszyscy

PANOWIE i PANIE, energiczni i przedsiębiorczy,
za łatwą sprzedaż LOSÓW LOTERYJNYCH
(płatne miesięcznie)

Losy gwarantowane przez państwo Francuskie

Zajęcie miłe i zyskowne
Referencje wymagane



Pisać pod adresem:

„BANQUE PANAMA”

38, Rue Saint-Ferriol - MARSEILLE (France)



Woda Koloriska JSTE jest KORONĄ wszystkich wód koloriskich

1/2 butelki zt 2,-
1/4 butelka • 2,75
1/4 litr. but. • 4,50
1/2 • 7,50



J. & S. STEMPNIEWICZ · POZNAŃ
KWKLEDECC
WARSZAWA, KS. SKORUPKI 8. · RADOM, PIASKI 12.



W każdym domu Polskim winien się znajdować

„BUDŻET DOMOWY”

najlepsza książka rachunkowa do robienia OSZCZĘDNOŚCI.

*Tronimowany Budżet rodziny
jest podwaliną domową: Budżetu Państwa*

A. Grabowski

Szczególne konkursy w książce.

Cena 1 złoty.

Nakład pierwszy wyczerpany w ciągu dwóch tygodni. Wydanie drugie do nabycia **wszędzie.**
SKŁAD GŁÓWNY: administracja „BIESIADY LITERACKIEJ”. Nowy Świat 50, tel. 291-60.

Olbrzymi konkurs z licznymi nagrodami w gotówce.

KUPUJCIE WSZYSCY!

Gimnazjum męskie

Wł. Gیزیckiego

Warszawa, Puławska 113, tel. 22-99

(park Wierzbno)

Tramwaj Nr. 1 i 19. Przystanek w parku szkolnym

Szkoła kładzie szczególny nacisk
na wychowanie fizyczne młodzieży

Najlepsze źródła zakupów polecane przez „Biesiadę Literacką“

FILOTEA

czyli Droga do życia pobożnego

arcydzieło św. Franciszka Salezego

Wydanie eleganckie, drobnym drukiem, na pięknym papierze, w małym, zgrabnym formacie, oprawne w płótno angielskie, brzegi pąsowe w cenie **zł. 7 i 50 gr.**, zaś z brzegami złożonemi, z futerałem **10 zł.**

do nabycia:

W KSIĘGARNI KATOLICKIEJ

Dra Wład. Miłkowskiego w Krakowie

Przesyła jednego, dwóch, trzech lub czterech egz. kosztuje jednakowo **1 złoty.** Za zaliczką o 50 gr. drożej.

Jan Łakomski

Warszawa, ul. Marszałkowska 147.
Telefon 41-72.

SKŁAD

Porcelany, Szkła, Kryształów
oraz Wyrobów Terrakotowych

*** Duży wybór galanterji. ***

Pensjonat „DJETA”

WAKS & FRYDLAND

Otwock

Al. Kościuszki 8, ——— Tel. Nr. 19.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:

w Warszawie: Nowy-Świat 50 m. 4a tel. 291-60, konto czekowe w P. K. O. № 7494.
w Poznaniu: Krajowe Ubezpiecz. Ogniowe, pl. Nowomiejski 8.
we Lwowie: Jagiellońska 7, tel. 305.
w Katowicach: Plebiscytowa 2, 1-sze piętro.

Filje „Biesiady Literackiej“: w Łodzi: Piotrkowska 85
i Ks. „Czytaj“ Narutowicza 2.
w Białymstoku: Sosnowa 61.
Prenumerata: rocznie 45 zł. półrocznie 23 zł., kwartalnie 12 zł.
zagranicą podwójnie.